



ROK LVIII

NR 12

BLUSZCZ
TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 21 MARCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O przysposobieniu kobiet do obrony kraju—*Helena Pawłowiczówna*. Szkolnictwo zawodowe [u nas—*C. W.* Dwa Amerykanie—*K. S.* Napoli Parthenope (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Wiersze—*Zofja Dunikowska*. Pantofelek (bajeczka prawdziwa) c. d.—*Paweł Winikowiecki*. Wędrowki Dżdżyleasa, tłum. z serbsko-chorwackiego—*M. Zn. Szczepońska*. Młode lata księcia Adama Czartoryskiego (c. d.)—*Aleksander Krausbar*. Z literatury kobiety francuskiej—*Dr. M. Kasterska*. Reforma gospodarstwa kobiecego—*F. Sachsówna*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—*I. Fabrycowa*. Pokój świata a Paneuropa—*J. Kr-a*. Z książek—*Z. Szmydtowa*. Modne uczesanie. Kącik dla pań brzydkich. W obronie życia—*Pani Elżbieta* Korespondencje działu praktycznego. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Nadesłane do Redakcji Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy 1) „Biały Paw”—powieść Henry Bordeaux—autoryzowany przekład *M. Domańskiej*, 2) „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu” (ciąg dalszy).

Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

O przysposobieniu kobiet do obrony kraju

Artykułem p. Heleny Pawłowiczówny, jednej z propagatorek idei przysposobienia rezerw kobiecych i niestrudzonej na tem polu działaczki, otwieramy na łamach „Bluszcza” dyskusję nad tem tak ważnem zagadnieniem, które w społeczeństwie polskiem ma zarówno gorących zwolenników, jak i przeciwników. Chcąc oświetlić zagadnienie wszechstronnie, redakcja „Bluszcza” zaprosi do wzięcia udziału w dyskusji szereg działaczek społecznych ze świata kobiecego, oraz interesujących się sprawą przysposobienia rezerw przedstawicieli wojskowości. (przyp. red.)

Bogate doświadczenie ostatniej wojny w całej pełni wykazało, że właściwie nie armje zwyciężają, a narody — i że ten ostatecznie wygrywa — kto najpóźniej wyczerpie swoje rezerwy, czyli moralne, materialne i fizyczne siły ludności. Toteż o ile poprzednio światowy „pokój zbrojny” polegał na międzypaństwowych wyścigach w dziedzinie zbrojeń, techniki różnych śmiertelnych pomysłów, o tyle teraz państwa, pragnące zapewnić sobie możliwość pomyslniej walki, lub zgoła jej uniknąć, starają się

przedewszystkiem o wzmocnienie swych rezerw ludzkich pod względem ilościowym i jakościowym.

I nic dziwnego! Cóż bowiem pomogą największe zdobycze techniczne, jeśli dusza całego narodu nie osiągnie odpowiedniego hartu i tężyzny dla przetrwania ciężkiej próby nowoczesnej wojny, która godzić będzie w życie wszystkich mieszkańców kraju bez wyjątku.

Nawet ciche, spokojne, nikomu solą w oku nie stojące państewka, jak Finlandja, Szwajcarja, posiadają wybitny ruch w kierunku wojskowego urobienia ludności — za pośrednictwem licznych organizacyj wojskowo-wychowawczych. Dumna Anglja, obchodząca się doskonale bez przymusowej służby wojskowej — myśli jednak zaprowadzić u siebie powszechne wojskowe przysposobienie młodzieży. Już nie mówię o Niemcach, którzy doskonale obchodzą przykry dla nich nakaz zredukowania armji, organizując chłopców (a nawet dziewczęta) w stowarzyszeniach sporto-

wo-wojskowych i o bolszewikach, którzy ich we wszystkim naśladowają!

Cóż tedy pozostaje czynić Polsce, która ma tak niekorzystne granice i ilość ludności znacznie mniejszą od otaczających ją sąsiadów?

Polska posiada wprawdzie swój Związek Harcerski, Związek Strzelecki, Sokoła, Hufce szkolne i swoje Ministerstwo Spraw Wojskowych, które, dbając o dobro kraju, popiera te organizacje i rokrocznie łoży wielkie sumy na urządzenie dla nich Obozów Letnich Przysposobienia Wojskowego. Ale jest to dopiero kucie sił i hartowanie duszy jednej, męskiej połowy ludności, podczas gdy żeńska połowa, za wyłączeniem stosunkowo nielicznych sokolic i strzelczyń pozostaje dla sprawy tej obojętna. A przecież nie wiadomo, jak prędko nadejść mogą takie chwile, gdy i „mdłe białogłowy” zdobyć się będą musiały na wysiłek może nie tylko ducha, ale i mięśni.

Jeżeli więc chcemy być narodem, wzbudzającym poszanowanie u przyjaciół i wrogów, jeżeli rzeczywiście pragniemy zapewnić sobie maksimum żywych rezerw, to powinniśmy do przysposobienia wojskowego nakłaniać całą młodzież męską, i możliwie dużą ilość młodych kobiet również wciągnąć w orbitę pogotowia obronnego. Czemże bowiem wrazie wojny zwiększymy liczbę naszych sił walczących, jeśli nie powierzeniem całego szeregu pomocniczych czynności wojskowych kobietom, oczywiście takich czynności, które idą po linii kobiecego powołania i wrodzonych zdolności, jak n. p. służba sanitarna, oświatowa, gospodarcza. Zresztą, kobiety polskie, w tego rodzaju pracy już się dodatnio zaznaczyły — nie trzeba jednak, by się powtórzyła smutnej pamięci improwizacja — i stosunek 30 proc. wydajności pracy przy 150 proc. nakładu sił! jak to miało miejsce w 19 i 20 roku.

Krótko mówiąc, należy zabrać się do odpowiedniego szkolenia kobiet, tak by pod każdym względem były zdolne do ewentualnego podjęcia odpowiedzialnych i trudnych obowiązków. Dajmy więc dziewczętom odpowiednio przemyślaną i na racjonalnych podstawach opartą szkołę wojskową.

W tem miejscu zastrzegam się przed błędem — popełnianym przez wiele osób, które wyobrażają sobie koniecznie, że kobieta plus szkoła wojskowa — w sumie przynieść musi coś, co jeszcze nie jest mężczyzną, a już przestało być niewiastą, jednym słowem jakiegoś raroga ciężko stąpającego i nie rozstającego się z papierosem i karabinem. Praktyka dotychczasowa nie ma z tem nic wspólnego, a zetknięcie kobiety z wyszkoleniem wojskowym, oprócz fachowego przygotowania jej do spełnienia pożytecznej roli w obronie kraju, ma na celu wyrobienie w niej tych właśnie walorów fizycznych i moralnych, jakich biedaczka dotąd nie miała sposobności rozwinąć w sobie, a które bynajmniej do zatracenia kobiecości nie prowadzą.

A więc, jeśli chodzi o stronę fizyczną — będzie to: — szybkość

i sprawność ruchów, zdolność do wydatnego wysiłku, wytrwałość, przyzwyczajenie się do niewygód, a z moralnych zalet wybijają się na plan pierwszy, małowówność, punktualność, karność, zdolność do szybkiej decyzji, odwaga.

Pod takimi hasłami rozpoczął się 3 lata temu w Polsce ruch, prowadzony po cichu, bez rozgłosu, przez szczupłą garstkę kobiet, które w czasie wojny, ciężkiej wojskowej służby zaznały, jej dobroczynnych wpływów na siebie doświadczły i patrzyły się na wiele, wiele rzeczy, domagających się naprawy, i które powiedziały sobie, że: chcieć, to móc, trzeba więc ilość podobnie chętnych kobiet zwiększać, aby Polska mogła kiedyś powiedzieć sobie, iż spotęgowała swe środki obronne przez dopływ elementu kobiecego.

Przy takich oto mniej więcej okolicznościach powstał Społeczny Komitet Przysposobienia Kobiet do Obrony kraju, w skład którego wchodzi wszystkie ważniejsze instytucje i stowarzyszenia jak: Koło Polek, Katolicki Związek Polek, Białe i Czerwony Krzyż, Harcerstwo, Strzelec, Sokół i t. p.

Komitet ten miał już sposobność dwukrotnie przyczynić się do zorganizowania Żeńskich Obozów Letnich, w roku 1923 na Wołyniu pod Klewaniem (19 uczestniczek) i w r. 1924 w Delatynie (73 uczestniczki). Już same te cyfry wymownie wskazują, że idea przysposobienia wojskowego kobiet — łatwo zdobywa sobie zwolenniczki, ma więc wszelkie widoki przyjęcia się na naszym gruncie — należy ją tylko siać wytrwale i z pewnym nakładem energii. Jestto właśnie głównym zadaniem owych obozów, o których chcę podać możliwie najwięcej szczegółów — do przyszłego użytku Czytelniczek „Bluszczu”, ich sióstr, córek, znajomych i przyjaciółek.

A więc: miejscowość na obóz wybiera się bardzo starannie. Musi tam być rzeka do kąpieli, sportu pływackiego i wioślarskiego, musi być las do obozowania, i teren falisty do ćwiczeń polowych, i jakieś osobliwości historyczno-geologiczno-malowni ze, któreby stanowiły wdzięczny cel dla wycieczek.

W myśl powyższego, w roku 23 rozstawiono namioty Obozu żeńskiego w patryarchalnym lesie dębowo-sosnowym nad brzegiem Horynia, a w lecie 1924 r. ściągnięto młode dziewczęta z wszystkich stron Polskie, do znanych z piękności i uroku wschodnich Karpat, mianowicie do Delatyna. Tam ulokowano je w świeżo odnowionym budynku zarządu starych salin, pośród dzikiego parku, w pobliżu szumiących wodospadów Prutu.

Program zajęć dla uczestniczek Obozu (zatwierdzony przez M. S. Wojsk), musi być również starannie ułożony, tak by wypełniał cały dzień, był odpowiednio urozmaicony i nie wywoływał zmęczenia.

Główny nacisk położony jest na wyrobienie tężyzny fizycznej, przez ciągłe przebywanie na powietrzu i dużą ilość ruchu (gimnastyka, lekka atletyka, gry, sporty, mustra, ćwiczenia polowe, wycieczki).

Urabianie charakteru jest również szeroko uwzględnione przez wdrażanie uczestniczek od pierwszego dnia ich pobytu w Obozie do wzorowego porządku, ścisłej punktualności, karności, i do obudzenia w sobie silnej woli.

Samo nauczanie w zakresie przysposobienia wojskowego, polega na cyklu wykładów z organizacji armji, służby wewnętrznej, służby polowej, służby łączności, służby sanitarnej, obrony przeciwgazowej, terenoznawstwa i broni. Przyczem zaznajamianie słuchaczek z obchodzeniem się z bronią ma znów na celu pewne momenty wychowawcze (wyrobienie szybkiej orientacji, zimnej krwi), a pozatem danie im umiejętności bronięcia własnego życia, na wypadek gdyby kiedyś, jakoweś okoliczności ściągnęły niebezpieczeństwo.

Nauka praktyczna zasadza się na 1) mustrze (dobra podstawa, ładny chód, sprawność ruchów); 2) ćwiczeniach polowych (szkicowanie terenu, ocenienie odległości, podchodzenie i t. p.); 3) ćwiczeniach praktycznych z saperstwa (budowanie namiotów, kuchni ziemnych, kładek przez rzekę), z łączności (budowanie i naprawianie połączeń telefonicznych, obsługiwanie aparatów i centrali, sygnalizowanie), z sanitariatu (zadania patrolu sa-

nitarnego w polu); 4) szkołę strzelca (kładanie się, celowanie, strzelanie z fobertu i z karabinu); 5) na pełnieniu kolejno poszczególnych funkcji w Obozie (podoficera służbowego, mundurowego, prowiantowego, podof. brojni i dywizjonowych).

Jednym słowem kurs obozowy obejmuje całokształt pewnego minimum wiedzy teoretycznej i praktycznej, jaką musi nabyć każdy człowiek, chcący orjentować się dobrze w środowisku wojskowym i pracować z pożytkiem na tym terenie. Jednocześnie kurs taki zainteresowuje słuchaczki szeregiem zupełnie nowych dla nich przedmiotów, pobudza je do dalszych studiów specjalnych w dziedzinie której ze służb pomocniczych, a które będą mogły przejść na projektowanych zimowych kursach fachowych.

Oczywiście, aby osiągnąć takie rezultaty, nie można poprzestać wyłącznie na wykładach i ćwiczeniach, a trzeba stosować przez całe 6 tygodni trwania Obozu — tryb życia ściśle wojskowego — pod względem organizacji Obozu, stosunku przełożonych i wykładawców do słuchaczek, oraz wewnętrznej atmosfery. A więc Obóz organizacyjnie przedstawia kompanię, mającą swoje Dowództwo, które rozkazami biega spraw obozowych normuje; na Obozie panuje ład, porządek, rygor — i dobry humor iście wojskowy.

Rozkład dnia w Obozie Żeńskim w Delatynie był następujący: pobudka o 5-ej, 5 minut po 5-ej zbiórka na gimnastykę, która się odbywała na łące w parku i trwała do 6-ej; od 6 — 7 mycie, czesanie, ubieranie się, sprzątanie sali; 7 — 7 m. 30 modlitwa (odśpiewana uroczystie chórem w dwuszeregu) i śniadanie; 7 m. 30 — 7 m. 50 t. zw. raport drużynami (t. j. zdawanie sprawy przed d-cą kompanji z ilości i stanu zdrowotnego ludzi na dany dzień); od 8 — 10 m. 30 wykłady i ćwiczenia (3 l-kcje po 45 min.); od 10 m. 30 — 11 m. 30 drugie śniadanie i nauka własna; od 11 m. 30 — 12-ej Raport) zmiana służbowych, załatwianie spraw, przepustek na miasto, urlopów

i t. d.); 12 — 12 m. 30 obiad; od 12 m. 30 — 15 m. 30 czas wolny od zajęć; 15 m. 30 — 16 m. 30 kąpiel w Prucie; 16 m. 30 — 17-ej podwieczorek; 17 — 19 gry i sporty (piłka latająca, szermierka na szable, biegi, skoki); godz. 19 Rozkaz; 19 m. 15 — 19 m. 45 kolacja; 19 m. 45 — 20 m. 30 miła śgawędka i śpiew chórny przy specjalnie na ten cel wznieconem ognisku; 20 m. 30 capstrzyk; 20 m. 45 odśpiewanie modlitwy wieczornej, — a punktualnie o godz. 21-ej (9 w.) wszystko już leży w łóżkach i cisza zalega Obóz.

Program nie był bynajmniej przedładowany. Słuchaczki rozporządzały w południe, podczas największego skwaru, kilkoma godzinami, przeznaczonymi na wypoczynek. Pięciodobny posiłek w ciągu dnia skromny był, ale pożywny — zaznaczyć bowiem należy, że kuchnią zarządzały dwie panie z Koła Polek lwowskiego, które miały do pomocy sprawną kucharkę.

W zakres kursu wchodziły także rozumieć wszelkie wycieczki, i też na chwałę Obozu Żeńskiego zaznaczyć należy, iż bez względu na niepogodę, odbywały się one zawsze co tydzień, w dniu oznaczonym, dzięki czemu Obóz nasz prześcignął w tym kierunku wszystkie sąsiadujące z nim Obozy męskie.

Pod względem osiągniętego wykszolenia dorobek również niezły, a mianowicie 20 słuchaczek II kursu w pełnym składzie ukończyło go z powodzeniem, a z 53 słuchaczek kursu I-go 36 zdało dobrze egzaminy.



Pod względem życia się całego zespołu i nastroju ogólnego — nic nie pozostaje do życzenia. Jest to tem bardziej godne podkreślenia, że materiał na Obóz bynajmniej nie był dobierany — poprostu znalazły się na nim mniej lub więcej przygodnie różne elementy przez różne instytucje z różnych punktów Polski przysłane. A więc były tam i urzędniczki, i nauczycielki, i uczenice, i akademiczki i robotnice fabryczne! (Te ostatnie z Górnego Śląska, przyjęto na Obóz mimo, że obowiązywał pewien cenzus naukowy, dla propagandy pracy P. W. Kobiet w tej dzielnicy).

Wszystko to, pomimo ogromnych różnic wieku, wykształcenia i przekonań, w niczem niezamąconej zgodzie przebyło całe 6 tygodni pod jednym dachem, zabrawszy ze sobą do domu niezatarte wrażenie mile i pożytecznie spędzonego lata.

I to jest bodaj, że największy triumf moralny Obozu, wykazujący że szkoła wojskowa bynajmniej kobiet nie wypacza, a przeciwnie dodaje im hartu i pogody ducha, co w wyniku pozwala im przechodzić nad całym szeregiem drobnych i przykrych powikłań życiowych do porządku dziennego.

I jeszcze jeden dowód, że tryb życia obozowego — dodatnio wpływa na młodzież żeńską: oto przy ustawicznych, typowo górskich ulewach, które usiłowały nas gnębić przez 6 tygodni prawie bez przerwy, nie było pośród nas ani jednego wypadku zachorowania, czy choćby lekkiego zaziębnienia, a lekarka obozowa stwierdziła w większości wypadków przyrost wagi, zwiększenie pojemności klatki piersiowej, poprawę apetytu i cery.

Z tych wszystkich wyżej wymienionych przesłanek wynika, że Obozy Letnie i wogóle ruch przysposobienia wojskowego kobiet, zasługują na żywe, intensywne i szerokie poparcie! i to nietylko z tą myślą, że potrzebne nam są odpowiednio wykwalifikowane pracowniczki wojskowe na wypadek wojny, ale też i dlatego, że praca społeczna w czasie pokoju i ognisko rodzinne wymagają również zdrowych, dzielnych, zaradnych i męźnych jednostek!

Helena Pawłowiczówna.

SZKOLNICTWO ZAWODOWE U NAS

VI

SZKOŁY PROJEKTOWANE PRZEZ M. O. I W. R. SZKOŁY I KURSY PROWADZONE PRZEZ ORGANIZACJE SPOŁECZNE. PORADNICTWO ZAWODOWE i ANKIETA P. Z. DĄBROWSKIEGO ZE LWOWA. O AKADEMJE KRAWIECTWA I MODNIARSTWA

Wydział Szkolnictwa zawodowego żeńskiego przy M. O. i W. R. prowadzi układy w kierunku reorganizacji Kursów. im. Baranieckiego w Krakowie na Szkołę Praktyczną i kursem dwuletnim dla dziewcząt, które skończyły sześć klas gimnazjum i pragną iść w kierunku zawodowym. Szkoła ma obejmować trzy działy:

I. W pierwszym roku — ogólne wykształcenie o podkładzie społeczno-ekonomicznym. W drugim roku — specjalizacja w dziale opieki społecznej (praca w sierocińcach, opieka nad małoletnimi).

II. Bibliotekarstwo i księgarstwo.

III. Sekretariat w stowarzyszeniach i związkach społecznych.

Budowa własnego gmachu dla szkół zawodowych żeńskich w Warszawie pozwoli na otwieranie kursów i uczelni, dla których dotąd nie było pomieszczenia. Zamierzone są: kursy fotografowania, kształcenia sił pomocniczych w dziedzinie chemii, kurs fryzjerstwa, krawciarstwa, kwaciarsstwa, wyrobu piór, może i zecerstwa (ten ostatni istnieje dotąd tylko w Marjówce k. Radomska).

Z pomocą poczynaniom Rządu przychodzą organizacje społeczne. Związek Kobiet Katolickich otworzył niedawno Wieczorne Kursy kroju i modniarstwa (Krak.-Przedmieście 35), Koło Polek (Krak. Przedm. 2—Pałac Staszica) zaprowadziło Kursy instruktorstwa i haftów konfekcyjnych. Two Ochrony Kobiet (Czackiego 10 m. 10) otworzyło Wieczorne Kursy szycia, kroju, haftu i dzienną Szkołę czapnictwa, oraz wytwórnice czapek, pantofli gimnastycznych i zakopiańskich (przy ul. Ludne). Przy Muzeum Przemysłu i Sztuki Stosowanej (Chmielna 2) powstały Kursy koszykarstwa zdobniczego. Stow. Młodych Kobiet Chrześcijańskich (Marszałk. 74) i Czerwony Krzyż (Smolna 4) prowadzą dwuletnie Kursy Pielęgniarstwa — z internatem — dla kobiet, które posiadają

świadectwo dojrzałości. Zapewniają one — poza prywatną — posady higienistek szkolnych i pielęgniarek w domach zdrowia, w szpitalach.

Stow. Mł. Kob. Chrz. otrzymawszy zapomogę z funduszów Rockfeller'a, wysłało w tym roku pięć absolwentek kursów do Ameryki dla uzupełniania nauki i odbycia praktyki przy miejscowych szpitalach.

Kursy pielęgniarstwa istnieją również przy Szpitalu Żydowskim (Dworska 13) i także z internatem. Tam wystarcza świadectwo z ukończenia sześciu klas szkoły średniej.

Do doskonałą myśl Powzięło Stow. Młodych Ziemianek (Marszałkowska 140), zorganizowawszy w Puławach trzymiesięczne Kursy dla kierowniczek wiejskich szwalni społecznych. Ktośkolwiek zetknął się z brakiem umiejętności już nie tylko szycia, ale nawet łątania i cerowania wśród naszych włościanek, — ten zrozumie, jak wielką potrzebę zaspakajają ziemianki tem bardziej, że prócz nauki kroju i szycia prowadzone są wykłady społeczne i oświatowe. Jedna uwaga tylko. Kierowniczkę szwalni wiejskich powinny bardzo liczyć się z tem, że nauka kroju daje pomyslnie wyniki tylko wówczas, gdy całkowicie i z pełną biegłością opanowany jest kunszt szycia.

W marcu r. b. otwierają Ziemianki również w Puławach Kursy Gospodarczy dla pańien z uwzględnieniem działu społecznego *).

* * *

Szkoły powszechnie winny mieć charakter przygotowawczy do średnich szkół zawodowych, co zrozumiało Ministerstwo Oświecenia, wprowadziwszy obowiązujący kurs prac domowych dla uczennic dwóch ostatnich oddziałów tychże szkół. Obowiązkiem kierowniczek tych prac jest baczenie zwracanie uwagi na rodzaj i kierunek zawodowego uzdolnienia dziewczynki. Jedne mogą mieć szczególne upodobanie do szycia, inne do haftu i mod-

*) Niniejszy wykaz szkół i kursów zawodowych społecznych jest niepełny. Dla braku miejsca podajemy tylko niedawno otwarte placówki nauki zawodowej, z którymi jeszcze niedostatecznie zapoznano się społeczeństwo.

niarstwa, jeszcze inne do gospodarstwa lub rachunków. W miarę tego, należy im wskazywać rodzaj dalszych szkół.

Badaniem upodobań w kierunku nauczycielstwa i ochroniarstwa winny zająć się nauczycielki przedmiotów ogólnokształcących. Tylko wyjątkowo zdolnym i bystrym umysłem należy dopomagać w zdobywaniu wyższej nauki.

Zadaniem szkoły powinno być również stwierdzenie, czy fizyczne warunki uczniów odpowiadają obieranym przez nie zawodom.

„Bluszcz” w paru numerach roku zeszłego zapoznał Czytelnicki z t. zw. „poradnictwem zawodowym”, ogromnie rozpowszechnionem we wszystkich kulturalnych środowiskach Europy i Ameryki. Celem jego wykazywanie na mocy psychofizycznych doświadczeń, czy organizm danego osobnika — jego wzrok, słuch, siły cielesne i właściwości duchowo-umysłowe, bystrość intelektu, spostrzegawczość, możność lub brak skupienia uwagi — nadają się do uprawiania zawodu, jaki chce obrać.

U nas doświadczenia takie przeprowadzane są w Patronacie nad młodzieżą rzemieślniczą (Szpitalna 12) — przeważnie męską — przez doktora — kobietę.

Jak dalece pomagają one przy wyborze zawodów, zdaje sobie sprawę z tego każdy, kto kiedykolwiek miał do czynienia z grupami fachowców.

Prowadząc przez lat 20 Szkołę dla pracownic, przeważnie szwaczek, miałam je pod bliską obserwacją. Otóż 30% conajmniej wykwalifikowanych krawcowych musiało rzucić po kilku latach zawód swój ze względu na rozpaczliwy stan zdrowia, w jaki wpędzało je ślęczenie nad igłą lub szycie na maszynie. To ostatnie wywołuje b. często puchnięcie nóg, nabrzmienie żył, cierpienia organów płciowych. Haft i szycie jest niemożliwe dla osób ze słabym wzrokiem. U bezkrwistych sprowadza łatwo gruźlicę, wywołuje silną neurastenję i zaburzenia nerwowe.

Około 20 szwaczek w ciągu tego czasu przewinęło się takich, które uprawiały swój zawód z musu, bo wdrożono je od dzieciństwa do niego. Marzyły, żeby zostać ochroniarkami, nauczycielkami ludowymi lub pielęgniarkami. Dopomogło im w tem T-wo Zawodowego Kształcenia Kobiet i wtórny swój fach uprawiają po dzień dzi-

siejszy z wielkim umiłowaniem, z pożytkiem dla społeczeństwa.

Są kraje, w których zawody przechodzą dziedzicznie z matek na córki. We Włoszech, Belgii, Hiszpanji, Irlandji np. koronkarstwo we Francji — rękawicznictwo i krawiectwo w wielkich magazynach Luwru, Lafayette, Bon Marché i inne, córki mają zastrzeżone posady po matkach i obejmują je bez względu, czy mają zdolności krawieckie lub nie.

Trudno przypuścić, aby zwyczaj ten mógł trwać w przyszłości wobec szczególnej wagi, jaką przywiązuje się obecnie do wyboru zawodu według wrodzonego upodobania i uzdolnień, opartych na podłożu odpowiednich właściwości organiczno-psychicznych.

W całej środkowej Europie i we wszystkich kulturalniejszych osiedlach Ameryki zostało wprowadzone — poza doświadczeniami psychofizycznymi — badanie dzieci, począwszy już od szkół powszechnych, drogą wywiadów, których wyniki rozstrzygają o wyborze zawodu.

U nas zapoczątkowanie w tym kierunku zrobił P. Z. Dąbrowski ze Lwowa, sporządziwszy i rozsyławszy do Seminarjów dla nauczycielek ludowych kwestjonariusz, którego celem zbadanie, czy uczniowie i uczenie tych zakładów zdają sobie sprawę z pobudek, jakie nimi kierowały przy wyborze zawodu nauczycielskiego? — Czy zapragnęli poświęcić mu się samorzutnie, czy też pod wpływem namowy rodziców, rodziny, znajomych? — Czy lubią dzieci? — i t. p.

Pytań jest ogółem 16 — wszystkie bardzo jasne, proste i pod tym względem ankieta polska stoi daleko wyżej od zagranicznych, zwłaszcza niemieckich, opartych niekiedy aż na stu pytaniach, mocno zawiłych, tak, że gubi się w nich uczeń i nauczyciel, opracowywujący odpowiedzi kwestjonariuszy.

P. Z. Dąbrowski zwrócił się do nauczycielstwa z prośbą o zachęcanie uczniów do zupełnie szczerych odpowiedzi i o zbieranie ich równocześnie we wszystkich klasach całego zakładu, a także o nieudzielanie żadnych objaśnień dla uniknięcia sugestji.

Zadaniem ankiety wskazanie wychowawcom, jak mają postępować, aby rozwijać i pogłębiać w uczniach uświadczenie zawodowe, niezbędne dla rozwoju ich osobo-

wości i zrozumienia przyszłych obowiązków nauczycielskich.

Kwestjonariusz i wezwanie do przeprowadzenia ankiety zostało podane w № 1 Biuletynu Koła Psychologicznego, kwartalnika poświęconego zagadnieniom pedagogicznej, a wychodzącego pod redakcją niezmordowanej naszej uczonej i działaczki, prof. dr. Józefy Joteyko.

* * *

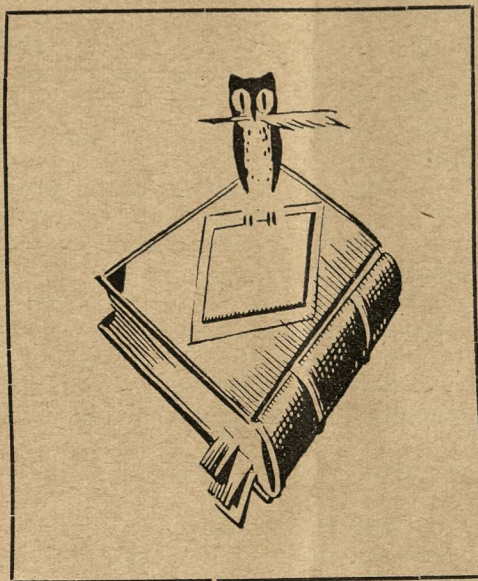
W unormowanym finansowo, dobrze zagospodarowanym i nie nękanym troską o zaspokojenie najpilniejszych potrzeb państwa naszym pożądanym będzie utworzenie Akademii krawiectwa i modniarstwa dla najzdolniejszych uczennic szkół przemysłowych z kursem wysoko postawionych rysunków zdobniczych, z wykładami estetyki, historii sztuki przy szczególnym uwzględnieniu stylów i przeobrażeń mody i t. p.

Przed wojną wielkie nasze firmy konfekcyjne zmuszone były sprowadzać krojczynie i modystki do najwytworniejszych działów konfekcji z zagranicy.

Jedno ognisko choćby na cały kraj, dające zupełne wykszolenie artystyczne i zawodowe w danej gałęzi przyczyniłoby się niezmiernie do podniesienia kultury wytwórczości naszej.

Nim podobna placówka powstałaby, należałoby wyznaczyć stypendja dla najwybitniejszych dyplomowanych uczennic szkół zawodowych średnich na studia i praktykę zagranicą.

C. W



DWAJ AMERYKANIE

II

Historja Stanów Zjednoczonych liczy zaledwie trochę więcej niż wiek czasu. Naród amerykański, jako taki, jest może trochę starszy — a może nawet trochę młodszy.

Karjera młodych narodów, jak karjera dorabiającego się „homo novus”, obfituje zawsze w momenty niezwykłości i sensacji.

Życie amerykańskie nosi te wybitne cechy.

Typy Marków Twain'ów, którzy z chłopców okrętowych stają się sławnymi na cały świat pisarzami, są tam na porządku dziennym.

Ta bajeczna siła ewolucji, zdolność do niezwyklej zmian, do przerzucania się z jednej dziedziny pracy w drugą — były dotychczas źle widziane w Europie. Europejski światopogląd, uznający tylko określone kasty, patentowane zawody i „rutynowe” posady — upatrywał w tej elastyczności życia i pracy amerykańskiej pewną skłonność do powierzchowności, dylatanizmu i błagi. Równie obcem było dla niego pojęcie profesora, który był kiedyś „pucobutem”, jak pojęcie szkoły, która uczy pracy fizycznej i wytwórczości przemysłowej, lub pojęcie fabryki, która tręszczy się o dobro konsumenta i robotników.

Kim jest Henry Ford, wie już prawie każde dziecko. Miljony samochodów z napisem „Ford” roznieśli to nazwisko kłótkie i dzielne po ogromnych przestrzeniach świata. Rozniosła je także niedawno niezwykła książka jego: „Moje życie i dzieło”, rozniosły setki artykułów dziennikarskich, książeczki tej i jej autorowi poświęconych.

W czym leży niezwykłość tej książki i jej autora? Bo to, że Ford z ubogiego syna fermiera w krótkim czasie stał się jednym z największych fabrykantów i przemysłowców świata — jest sensacją, do której mieliśmy już czas się przyzwyczaić nie tylko w Ame-

ryce, ale nawet w Europie. Impo-
nująca ilość fabryk, stacyj repara-
cyjnych, ajenccy, rozrzuconych dziś
po całym świecie, zawrotne ilości
maszyn i robotników, niesłychana
wprost precyzja w organizacji pra-
cy, w ekonomii sił i czasu, a na-
wet najbardziej oszałamiający fakt,
że tam co minuta rodzi się dzie-
sięć samochodów — to wszystko
razem nie jest jeszcze tem, co nas
w tej książce najwięcej zdumiewa.

Najbardziej nowem, najbardziej
niezwykłym zjawiskiem jest strona
jej społeczna, pedagogiczna i mor-
alna — to, co Ford mówi o swoich
motywach i celach, o swoim syste-
mie pracy i wychowania rzesz ro-
botniczych, o osiągniętych rezul-
tatach i przyszłych nadziejach.
Główna sensacja leży w tem, że
Ford podaje całkiem nowy i — zda-
wałoby się — wprost paradoksalny
sposób patrzenia na przemysł i na
każdy prawie „business.” Uważa
je mianowicie za pewną służbę
obywatelską, której celem jest
najlepsza jakość produkcji, najwięk-
sza jej taniość i najwyższe zadowole-
nie zarówno konsumenta, jak i ro-
botników.

Wreszcie to, co w tej książce
najbardziej porwuje, co budzi wiarę
w życie i dodaje otuchy do pra-
cy — jest świadomość, że nie są to
piękne mrzonki szlachetnego teo-
rytyka, ale najkonkretniejszy czyn
człowieka praktycznego, który oso-
bistym wysiłkiem i własną energją
„przefasonował” już duży kawał
świata.

Nie będę powtarzała szczegółów
biografii Forda. Odsyłam czytel-
ników do jego własnej książki, któ-
ra naprawdę warta jest przeczyta-
nia ogromnie jest interesująca
i krzepi na duchu.

Dla zachęcenia podam tylko kil-
ka momentów.

Mając lat 17 i skromne wykształ-
cenie. — Ford wbrew życzeniom oj-
ca, który chciał go wykierować na
farmera — wstępuje do fabryki ma-
szyn w Detroit. Podczas pobytu
tam, wyczytuje w czasopiśmie
angielskim „World of Science”
o „cichej maszynie gazowej”, któ-
ra wówczas ukazała się w Anglii
i to decyduje o dalszym jego ży-
ciu. Rzuca się do eksperymentów,
konstruuje rozmaite modele samo-
chodów, robi próby „na szybkość
i na „wytrzymałość” — a gdy te
się udają, przystępuje do produkcji
fabrycznej, która odtąd aż po dziś
dzień z roku na rok rośnie w za-
wrotnym tempie.

Odtąd cały swój czas i całą nie-
zwykłą energję poświęca dwóm
rzeczom: z jednej strony ciągłemu
ulepszaniu jakości coraz to nowych
modeli, a z drugiej zmniejszeniu
kosztów produkcji tak, aby ten wy-

godny środek lokomocji każdemu
uprzęstępnąć.

Równocześnie dąży do tego, aby
robotnikom zapewnić coraz lepsze
warunki pracy i wynagrodzenia.

Osiągnięcie tych trzech — zda-
wałoby się — tak sprzecznych ce-
lów umożliwia mu niebywałe, z ma-
tematyczną ścisłością przeprowa-
dzona organizacja pracy. Celowość
ruchów, a dzięki temu, oszczędność
energji i czas doprowadzone są w
jego fabrykach do istnych cudów
techniki nowoczesnej.

Podziw ogarnia, gdy się czyta
o tych, przesuujących się — jedna
za drugą — platformach, które w
tempe szybkim i rytmicznym
krążą od działu do działu, zbiera-
jąc po kolei wszystkie 5000 części
składowych „rodzącego się” samo-
chodu. Zasada „nie schylania się”
podczas pracy i zachowania miejs-
ca (tylko jeden krok) dały taką
oszczędność, że koszt produkcji
spadły do połowy. Rzecz tem
bardziej zdumiewająca, że równo-
cześnie wynagrodzenie robotników
wzrosło więcej, niż w dwójnasób.
Zresztą wedle Forda „wysoka płą-
ca robotnicza obniża kosztą pro-
dukcji”, gdyż polepszając warunki
bytu robotnika, powiększa wydaj-
ność jego pracy.

I jeszcze jedno: Ford nie uznaje
dobroczynności. W jego zakładach
pracuje około 10 000 najrozmaits-
szych kalek z największym poży-
tkiem dla fabryki i dla siebie sa-
mych.

Zorganizowane jeszcze w r. 1903
tow. akc. „Ford Motor C-o.” któ-
rego Ford jest głównym akcjonar-
juszem, posiada dziś setki fabryk
prawie na całym świecie — głównie
w St. Zjednoczonych i w Anglii.
Pracują w nich setki tysięcy ro-
botników, a produkcja roczna li-
czy się już dziś na miliony samo-
chodów, nie licząc traktorów,
które w ostatnich czasach coraz
więcej wchodzi w użycie.

Pomysł traktora, t. j. motoru
pociągowego dla rozmaitego rodza-
ju narzędzi rolniczych, jak pługi,
brony, siewniki, a nawet młocar-
nie — powstał w głowie Forda
jeszcze przed samochodem. Ale
różne trudności techniczne i eko-
nomiczne długi czas stały na prze-

szkodzie. Dopiero kiedy w cza-
sie wojny (1917 — 1918) Anglja,
znalazłszy się w ciężkim po-
łożeniu z powodu braku robot-
ników rolnych, zamówiła oficjalnie
5.000 traktorów u Forda, kiedy
te właśnie traktory, kierowane
przez kobiety, wybawiły Anglję
z grożącej klęski głodowej — los
traktora został zdecydowany.

Dziś traktor jest już bardzo po-
ważną siłą pociagową w rolnict-
wie nietylko na wielkich, ale i na
małych obszarach — a wskutek tego
równie poważnym przedmiotem pro-
dukcji fabrycznej.

„Przemysłowe królestwo” Forda,
które prócz samych fabryk, obej-
muje cały szereg instytucyj takich,
jak własne szkoły, własne szpitale,
domy klubowe i t. p., powinno
stać się wzorem nietylko nowej
organizacji pracy, ale i nowego
życia.

Wniosła i praktyczna zarazem
ideologia tego genialnego czło-
wieka snać utrafiła najlepszą dro-
gę, skoro tak wspaniale wydała
rezultaty.

Na zakończenie wspomnę jesz-
cze o rzeczy, dla nas szczególnie
miłej, a mianowicie o opinji, jaką
Ford wydał o polskich robotni-
kach.

Muszę przedtem nadmienić, że
w fabrykach Forda znajduje przy-
jęcie każdy — „bez względu na swo-
ją przeszłość” — o ile tylko chce
naprawdę pracować. Po krótkim
czasie może się tam nauczyć każ-
dej pracy, a potem zaleźnie od
swoich zdolności i chęci przenieść
się do tego, lub innego działu.
Wszelkie ulepszenia czy to wytwa-
rzanych przedmiotów, czy maszyn
lub organizacji pracy, wychodzą
przeważnie z inicjatywy i pomysłu
samyh robotników. — Otóż Ford
stwierdza, że wśród nich najbar-
dziej wyróżniają się Polacy.

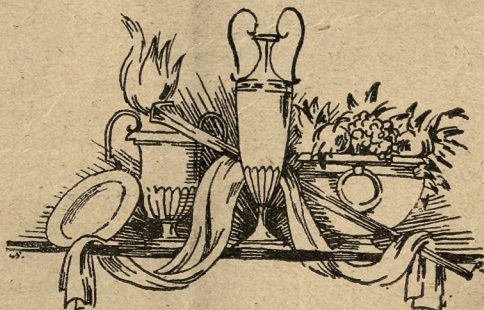
Uznanie takie jest nietylko miłe,
ale ma dużą wartość realną.

Pozatem książka Forda zawiera
ogromne mnóstwo poglądów i zdań,
tyczących się wogóle życia i lu-
dzi — zdań nietylko nowych i cieka-
wych, ale bardzo trafnych i głę-
bokich.

Gdyby chodziło o krótkie scha-
rakteryzowanie działalności tego
niezwykłego człowieka, możnaby
powiedzieć, że podniósł przemysł
do godności pracy ideowej, a rolę
fabrykanta do roli wychowawcy,
opiekuna i prawdziwego kierowni-
ka rzesz pracujących. Na miejsce
zaś „pieniądza” i władzy, które do-
tychczas były jedynym celem każ-
dego „business'u” wprowadził za-
dowolenie z pracy i poczucie
„służby obywatelskiej.”

(c. d. n.)

K. S.



NÁPOLI (PARTHÉNOPE)

(NEAPOL)

II

Nie zapominajmy, że Neapol jest to dawna Parthénope — bląka się tutaj jeszcze dusza grecka i Neapolitańczyk ma jej trochę w sobie — ale Grekiem nie jest. Pierwszy fundament pod jego psychikę kładli być może Fenicjanie, którzy podobno mieli tu najpierw swoje osady — a Fenicjanie to byli semici. Lecz tyle gatunków krwi wlało się od tego czasu w jego żyły, że trudno byłoby ustalić dla niego antropologiczną formułę. — Na pierwszy rzut oka Neapolitańczycy przypomnieli mi bardzo ludność, widzianą na ulicach Salonik — a obok tego twarze ich mają w rysach często coś żydowskiego. — Z cech duchowych narzuca się przede wszystkim uwadze każdego zachłanność ich na pieniądze, nie przebiegająca w środkach. A musi być doprawdy wyjątkowo jaskrawą, skoro bije w oczy dziś, gdy trójzawsko jest powszechnem

W Neapolitańczykach posuwa się widac jeszcze o parę stopni wyżej w natężeniu i o parę stopni w głębi w bezwzględnie. Chciwość ta jest pozbawiona przytem wszelkiej ideologii kapitału. Zabezpieczenie starości, karjera dzieci, wielkość ojczyzny, mało zdaje się wzruszać Neapolitańczyka. On chwytą pieniądze po to, aby je wydać. Jest Grekiem na tyle, że jest artystą. Ale nie artystą twórczym, co wymaga podkładu pewnego ideologii znów i idealizmu. Artystą jest przez aparat nerwowy. N rwy jego nie mogą wytrzymać życia bez wzruszeń słodkich i wstrząśnień silnych, bez piękna i miłości. On jest tym artystą, który chce żyć poetycznie. — W Neapolu niema ludzi tak marnotrawnych, którzyby przesypiali letnie, księżycowe noce w łóżku. W księżycowe noce letnie zaślane są pokotem te ulice, które, jak Via Tasso, słyną z pięknych widoków. I nie tylko są tutaj przedstawiciele ludu!... Każdy młodzieniec jedną ręką bierze w pół kochankę, w drugą chwytą mandolinę i idzie w księżyc. Jemu zadziwiająco mało potrzeba do utrzymania się. — Kpią z niego: „macaroni i sirocco” wystarcza — wygod życia nie zna i nie rozumie ich. — Byleby tylko nie zamknąć się w dusznych czterech ścianach, wszystko jedno, czy przy biurku buchaltera, czy z cuchnącą skórą i pocięgiem w rękę.

Stanino, który wstawił do mego pokoju piec żelazny, wybiwszy otwór w murze, wyleciał na balkon: „e con tutta questa poesia!” — zawołał żałośnie, pokazując usmolone swoje ręce. Praca jest dla niego biblijną karą, symptomatem wygnania z raju. Neapolitański robotnik daje się zwabić do niej tylko brutto tempo — w pogodę za nic! opowiadają z rozpaczą właściciele domów. A ponieważ pomimo wszystko trzeba coś od czasu do czasu przekąsić... łamie więc swoją wysoce przemysłną mózgowicę, jakinby fortem, nie wypuszczając z rąk ani kochanki, ani mandoliny i nie odrywając oczów od boskiej Napoli zdobyć te przeklęte „soldi”! Jeżeli napatoczysz mu się na drodze, ty, straniero, o którym on wie, że masz je przy sobie... guai a te! Jedną z mann niebieskich, jakie mu los posyła, to jest straniero (cudzoziemiec). Straniero jest to w najbardziej żydowskim tego słowa znaczeniu: goj, względem którego nie obowiązuje żadne prawo, żadne uczucie moralne! Natomiast za sobą Neapolitańczycy ciągną jeden za drugim ze wzruszającą solidarnością.

Trzeba obedrzeć straniera: dama, pokazująca z dumą portrety swoich antenatów o historycznym nazwisku, jej cameriera (z którą się śmiertelnie nienawidzą), wszyscy mieszkańcy domu jego właściciela, jego portinajo, wszyscy sklepikarze z tejże ulicy, wszyscy opereje, pracujący w domu, wszyscy dostawcy: fruttajo, lattajo, paneficio, lewandaja (owocarz, mleczarz, piekarz i praczka) wszystko przybiera jeden front. Cudzoziemiec to goj. Kto by go chciał bronić przed wyzyskiem Neapolitańczyka, kto by przez litość, chciał mu zostawić przy duszy je-

dną koszulę, byłby zdrajcą rodaków. Żadna tu nienawiść mistyczna w grę nie wchodzi — poza kwestją pieniężną nie mają nic przeciwko niemu i wszystkie narodowości są im jednako obojętne, a tego, który się daje obdziereć avec une bonne grace, mogą nawet lubić — ach, przecież gospodyni nieraz całuje prosię, które jutro zarżnie

Trątuje się z pewnem poczuciem własnej wyższości tego, który tu nie wie, gdzie po co przyjechał. Straniero jest to taka głupia gruszką, która oblepiona słodkimi owocami, spaceruje sobie samopas po ulicy... A na cóż są dojrzałe gruszki?! Mrugnie jeden na drugiego, zleca się, otoczają, wezmą się za ręce, jak przykładne rodzeństwo — robota idzie wesoło — jeden drugiego podsadza na ramiona. Aż dopóki nie znikną w ich kieszeniach te ostatnie trzy nieszczęsne soldi, które jeszcze zółciły się gdzieś na czubku!..

C'e soldi.—brawo! Neapolitańczyk kupuje sobie w tej chwili cudowne perfumy, najwykwintniejsze jedwabne chustki... Tegoż wieczoru cała rodzina, utrzymująca się z kręcenia bczów z piasku (i to z piasku bardzo podejrzanej czystości) idzie do teatru. Idzie nawet tryletni Fernando i po bohatersku wytrzymał na swoim fotelu do pierwszej w nocy. Jedenaścieletnia Gina opowiada treść przedstawienia „C'era un giosanotto, który wszedł w stosunek miłosny z aktorką”. Nazajutrz nosy są zwieszane na kwintę — w kominie czarno — nic się przez cały dzień w kuchni nie gotuje... Fernando spożywa chleb suchy, ani myśląc zresztą protestować, promieniujący od wczorajszego szczęścia.

Nie mam zamiaru rzucić tej psychologii do całej ludności Neapolu... Nie dotarłam do tych wysokich kręgów, w których obracają się takie gwiazdy, jak Benedetto Croce i Matilda Serao. To, co tu napisałam, stosuje się tylko do tej powierzchni miasta, w którą natychmiast wpada cudzoziamec. — Muszę jednak zanotować, że charakter głów w całej tej masie ludzkiej, jaka przewala się po ulicach Neapolu, jest jednak dziwnie wytrzymały: t e n s a m.

(c. d. n.)

Marja Grosseck-Korycka.



ZOFIA DUNIKOWSKA.

R Ó Ź A

O Słońce! Słońce...

Cóż pocałunki znaczą Twe gorące
I mgła złocista, co oczy przysłania,
W tej najszczęśliwszej chwili miłowania,
Gdy nieprzytomna, w południa godzinę,
Zda się, że w ogniu Twych uścisków ginę?...
Zda się, że w ogniu Twych uścisków ginę?...

O Słońce! Słońce...

Kwiatów przeróżnych setki i tysiące
Kradną mi złote pyłki Twej jasności,
Więc zazdrość w dumnej mojej duszy gości,
Że gdy się budzę o świcie — co rano,
Nie jam najpierwszą, jedyną, wybraną...

O Słońce! Słońce!...

Z mych listków płyną duże krople lśniące...
Czemu nie sprawisz, by nagle świat cały
Otulił szczerze śniegu całun biały?
I nikt nie został, oprócz mnie i Ciebie —
Ja kwiat na ziemi — Ty słońce na niebie!

O Słońce! Słońce...

Już milkną wargi moje płaczem drżące,
I gaśnie na nich barwa purpurowa...
Umieram!... Słońca kochanka — królowa,
Lecz najsmutniejsza ze wszystkich na ziemi,
Bo szczęścia dzielić nie chciała z innemi!

O Słońce!... Słońce!...

TULIPANY

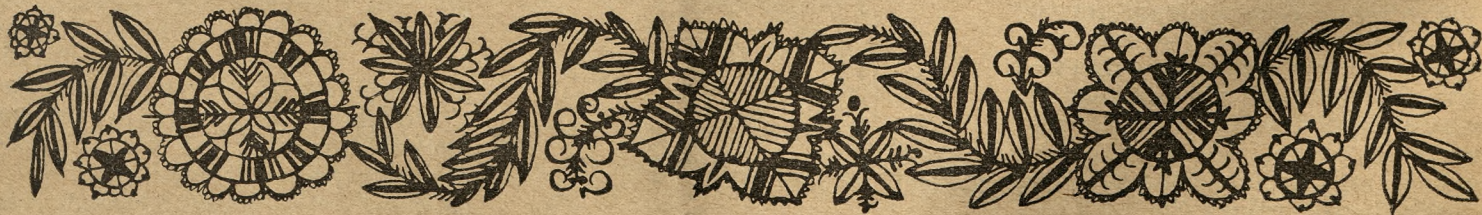
Jedne — kielichy złotem napełnione winem,
Które szczęście tłoczyło południem w winnicy—
Promień słońca zaklęty był w każdej jagodzie—
Tego wina nie piją smutku niewolnicy,
Lecz ci, co czoła wieńczą zwycięstwa wawrzynem
I radość ich nie gaśnie o słońca zachodzie.

Te drugie — niby ognia jaskrawe płomienie—
Groźny pożar spał długo ukryty w iskieńce,
Lecz blask jego już płynie przez różowe palce—
Tych najwięcej się boi ciche moje serce...
Lepiej zgasić odrazu gorące pragnienie,
Niż ginąć pokonanym w bezcelowej walce.

A czerwone — to rana głęboka, brocząca,
Otwartej piersi ludzkiej — tajemnica krwawa—
Miłość, co cierpi jeszcze, chociaż już nie żyje—
Pamięć dotyka rany — natrętna, ciekawa,
I milczącego trupa stopą swą potrąca,
Pytając wciąż, bez końca: „Czyje ręce... czyje?...“

Tak mi wiosną wiązanka tulipanów śpiewa,
O upiciu się szczęściem, które niezna smutku,
O ogniu, co się w żyłach miłości przelewa
I o sercu krwawiącym..

cicho — pocichutku...



PAWEŁ WINIKOWIECKI

PANTOFELEK

3)

(Bajeczka prawdziwa).

— Nie mogę dziś szyć — mówiła mamusia sąsiadce — i syna też zostawić nie mogę, niech mi pani to sprzeda. Nic mi po tem...

Zafrasowała się dobra sąsiadka, ale się zgodziła. Chodziła, chodziła dzień cały po mieście, ale cóż: zegarek zepsuty, kolczyki nemiadne. I znów chodziła dobra sąsiadka, i jeszcze raz poszła, wreszcie sprzedała, ale pieniądze w wieszaku w złote gwiazdki pudelczku przyniosła tak mało, że tegoż wieczora jeszcze —

...warknęło kółko i stuknęła nóżka i przebiec się zaczęła poprzez przejrzyste fale batysów, przez pianę tiulów i gazy, przez bryzgi koronek długo — długo, aż do rana, bo nazajutrz były już ostatki i w dniu tym na mieście bawiono się najwięcej, bawiono się najlepiej.

Po tygodniu siedział już synek na łóżku i przglądał się pilnie wszskiemu, co mamusia przy kuchence robiła.

— Mamusi — wołał — tak mi się jeść chce strasznie, przecież dziś jeszcze nic nie jadłem.

— Jak to sianku — dziwiła się mamusia — niema jeszcze godziny, jak zjadłeś talerz rosółu, dwa kotlety, trzy jabłka.

— Ach mamusi — odpowiadał — zjadłbym dziesięć talerzy rosółu, dziesięć kotletów i chyba ze trzydziści jabłek, cóż więc może znaczyć ta odrobina — nic. To znaczy, że ja nie jem.

Usmiechała się mamusia, narzucała chustę i biegła na dół po mięso, po jabolka.

— Do wiosennego sezonu proszę zacząć — prosiła się u rzeźnika i u sklepikarza — bo dziś płacić nie mogę, karnawałowe zarobki się skończyły, a wydatki mam duże.

A oni zarisywali i na papierkach i w książeczkach dużo — dużo, aż do wiosennego sezonu.

Nareszcie przyszła wiosna. Synek nie chodził jeszcze do szkoły, lecz uczył się w domu. Wsparty na łokciach, z rękoma we włosach, zatopiony w książce dopędzał w nauce kolegów. Ale czasem się nudził: wstawał chodził po izdebce, brał wstyk w ręce, oglądał mamusine roboty, śmiał się z damskich strojów, wreszcie dobrał się raz do mamusinego kufierka.

— Zawsze ciekaw byłem bardzo — mówił — co ty tam chowasz. Może ska by j kie?..

Otworzył i wyciągnął swoje małe czarne pantofelki.

— Co to? — pytał zdziwiony.

— Twoje — odrzekła, nie przerywając szycia, Mamusia.

Ale gdzież tam: — protestował. — Czyż ja mogłem mieć kiedy takie nogi, to niemożliwe. Jakże ja chodziłem temi nogami?

— Tak jak teraz — mówiła Mamusia — Patrz, już wtedy nawet krzywiłeś lewą nogę do środka i dła napróżno proszę, żebyś tego nie robił.

Przekonany oglądał pantofelek i nagle, wzburzony, zawołał:

— I po co ty chowasz takie śmiecie?..

A że w tej chwili na podwórzu rozległo się wołanie handłesasa: „Kupuję starzyznę handlan-dlan-dlan.“ — zamieżył się, by pantofelki za ckeno wyrzucić. Zerwała się Mamusia od roboty, chwyciła pantofelki, ale jeden wypadł już przez okno. Zagniewana, wrzuła pozostały pantofelek do kufierka, zatrasnęła wieko, przekręciła klucz.

Synek spojrział parę razy na Mamusię, a widząc, że się naprawdę gniewa, podparł głowę rękoma i uczył się dalej. Ale Mamusia nie gniewała się nigdy długo, to też nie upłynęła godzina, a stał już Synek przy otwartym oknie i mówił do niej:

— Jakbym ja chciał, Mamusi, wyfrunąć z tego okna, przelecieć ponad wszystkie te dachy, ponad rzekę i te za rzeką ogrody aż do tej jakiejś wieżyczki, której czubek hen tam ledwie widać na niebie... I buta tego na lewej nodze nie krzywiłbym — mówił, spoglądając ukrąkiem ku Mamusi — i widziałbym wszystko tak, jak nigdy człowiek nie widzi, chyba lotnik lub ptak widzieć może.

Podniosła Mamusia na Synka oczy i chociaż rzyła nań codzień, co godzina, widziała go i chodzącym, i śpiącym, nigdy się jej jednak tak pięknym, jak w tej chwili, nie wydał: twarz jego się po chorobie wygładziła, bujne, połyskliwe odrosły włosy, jańność jakaś biła z oczu i od białego nad ciemnymi brwiami czoła. A jak wycisnął, jak zmeżnił: ręce mu wyszły z przykrótkich wytartych rękawów,

rozrosłe ramiona ciasna ściągała kurteczka,

— Jakżeż on tak z domu wyjść może: — zatroskała się nage Mamusia. — Nie, nie, zanim do szkoły wróci musi mieć nową od krawca, jak na dużego chopca przystało, bluzkę.

I warknęło kółko, i stuknęła nóżka i rozbiegła się po różowych batystach i po niebieskich zefirkach, i po etaminkach, i po satynkach, i po paseczkach, i po kwiateczkach, i krecieczkach długo — długo... aż przez otwarte okno hen, zza wierzchołka owej wieżyczki, z dalekiego nieznanego Mamusi, niby czarodziejskiego świata podniosła się różowa zorza poranna, od wszystkich różowsza jedwabi, nawet od atlasu jaśniejsza...

Gdy dopędził Synek w nauce kolegów, poszedł do szkoły. Przechodził wiosnę, zaczęło się lato. Pewnego dnia przyleciał Synek do domu wcześniej niż zwykle, śmiejąc się, rozradowany.

— Mamusi! — wołał — wojna, wojna!..

— Co znowu? — dziwiła się Mamusia.

— Tak, tak — wołał Synek — i ja pójdę i ja pójdę! Raz — dwa, raz — dwa — wykrzykiwał, maszerując tam i z powrotem po ciasnej izdebce.

— Ach — przerwała mu z niezadowolaniem Mamusia — siadaj lepiej do obiadu.

A na świecie naprawdę zaczęła się wojna. Ułcami ciągnęły rzeregi ludzi jedakowo ubrałych, jednakowo uzbrojonych; młodzi — śmiejąc się i rozrywając, starsi — zamysłeni, poważni. Ustało nierówne, wesołe terkotanie dorożek, poddawanie tramwajów, a zacichł miało rozkołysało się całe w równomiernem na komendę stapaniu tysięcy nóg ludzkich i coraz to nowych, coraz to nowych tysięcy. Czasami podżegawczo groźnie zawarczał buben, a w edy Mamusia wsławała od maszyny i wyglądała przez okno. Ale z wysokiego jej okna, z dalekiej na przedmieściu uliczki nic widzieć nie było, więc zaniepokojona tylko siadała znów do swej roboty.

A nieokieć się miała czego, bo Synek nigdy już teraz ra czas do domu nie wracał. A kiedy przychodził, jadł szybko obiad i, nic nie mówiąc, znów z domu wypa-

dał. Kiedy go pytała lub prosiła, by wciąż nie chodził, zbywał ją żartami, przymilał jaką pieśczętą i znów wypadał. Więc wieczorami nasłuchiwała z niepokojem, kiedy zatrzeszczą schody i na ich poddaszu, kiedy stuknie klamka i drzwi się otworzą. A nie mogąc doczekać się, wychodziła do sieni i słuchała: oto mrok już zapadał, już stróż bramę zamknął, już cisza załęgła podwórko. Więc z pełnym troski sercem wracała Mamusia do swojej izdebki i przy maszynie siadała. I jak zawsze, jak codzień.

— Warknęło kółko i stuknęła nóżka i rozbiegła się, a wraz z nią, wielkim ściegiem drogę jej znacząc, mknęła igielka po grubych żołnierskich koszulach i po spodniach, gdyż pięknej i drogiej z koroneczkami roboty było mniej, coraz to mniej i żeby na kotlet dla Synka zarobić a dla siebie bodaj na kaszę, musiała Mamusia długo-długo aż za północ siadywać, czasem nawet i do rana...

I gdy tak w nóżkę wpatrzona nic już nie słyszała, niczego zda się nie czekała, nagle cichutko szcęknęła klamka i Synek do domu

przychodził. Wracał czasem zmęczony, czasem rozradowany, wesóły i do Mamusi wołał:

— Doskonale, wszystko doskonale. Mamusiu, już na dziesięć strzałów chybiam tylko raz jeden.

— Czyś oszalał? — pytała Mamusia, przerywając robotę.

— Nie, naprawdę nie, strzelam już najlepiej.

I przyzwyczyła się Mamusia do tych synowych wypraw, do jego dziwnych wykrzyków i zdawało się jej, że to tak być musi, że to już tak a nie inaczej na zawsze zostanie.

Aliście dnia jednego przyszedł Synek poważny, wzruszony i rzekł:



— W tym tygodniu pewno wyruszymy.

— Dokąd? — zapytała Mamusia zdumiona.

— Jakto dokąd? Na front. Więcej nic nie wiemy.

Zamilkła Mamusia, wpatrzona w biegnącą wprost na nią nóżkę... i napróżno usiłowała zrozumieć tę rzecz dziwną, która się frontem nazywała i w którą bezustanku, miarowym ruchem tysięcy nóg i ramion, bronią połyskując, wlewała się dniem i nocą fala ludzka... A już wcale nie mogła sobie przedstawić, że i jej Synek także tam razem ze wszystkimi pójdzie. Więc zatrzymała maszynę i, nie patrząc zapytała:

— Dobrze, ale ciebie nikt jeszcze przecież nie wołał, nie masz lat przepisanych, jesteś jedynakiem...

Przerwał jej niemal ze złością Synek:

— Więc jakżeż, Mamusiu? Jeżeli lim zdrow i mocny, jeżeli słabsi ode mnie koledzy moi pójdą, to ja mam zostać? Mam się tu może zamknąć z tobą w naszej izdebce i czekać, kiedy mnie nazwą zdrajcą i tchórzem?...

(c. d. n.)

I V O A N D R É

WĘDRÓWKI ALIJI DŻERDŻELESZA

3)

(tłum. z Serbo-chorwackiego M. Zn. Szczepańska)

Nazajutrz, o wczesnym świcie, obudziły Dżerdżelesza głosy, śmiech i pieśni cyganek, myjących się pod młynem. Pryskaly wodą, krzyczały i śmigały wierzbowemi prętami. Był to dzień św. Jerzego.

W kawiarni zastał Dżerdżelesz dwu braci Moriczów. Byli to synowie starego Moricza z Sarajewa, którego wszyscy poważali za jego bogactwa i pobożność, a który umarł w czasie pielgrzymki do Mekki. Ale młodzi, rozrzutne franty, bezczelni i gwałtownicy, słynęli daleko z występków. Młodszy zgłębiał stambulskie nauki, gdy jednak ojciec umarł, zbiegł i puścił się z bratem na życie rozwiązłe; pomimo to nosił zawsze biały zawój na fezie¹⁾. I pośród pijatyki i włóczęgi twarz jego została taka, jaka była, gołobroda i rumiana, z odętemi ustami rozpieszczonego dziecka, tylko oczy bezwstydne, zielonawe, starzały mu się i jakgdyby wędliły pod nabrzmiętymi powiekami. Starszy był wysoki i blady,

kiedyś najpiękniejszy chłopiec w całym Sarajewie, z ciężkim, czarnym wąsem i wielkimi ciemnymi oczyma, w których zawsze błąkał się odblask złotawy. Tylko już teraz twarz jego była chłodna i martwa; rozpadł się wewnętrznie od wstętnej choroby, na którą nikt nie umiał znaleźć lekarstwa, prócz pewnego golibrody z Bistriki, ten kurował go jakimiś odwarami i kadzeniami, nigdy jednak nie chciał powiedzieć, z czego je robi.

W ostatnich czasach bracia nie mogli pokazywać się w Sarajewie, gdyż dowiedzieli się, że na liczne skargi z powodu ich gwałtów i rozbojów, przyszła ze Stambułu ostateczna odpowiedź: aby obu Moriczów pochwylić i ściąć, tak, że właśnie szukali ich w okolicy Sa-

rajewa żandarmi i pachotkowie wezyra.

Lecz i bez tego stali oni na skraju przepaści. Wszystkich swoich kmieci już byli wyprzedali. Został im tylko wielki han na przedmieściu i znany rodzinny dom Moriczewski na Kowaczach²⁾. W tym domu żyła ich stara matka i jedyna siostra, mała, garbata, chorowita dziewczyna.

Spytali się wzajem o zdrowie, byli bowiem starymi znajomymi, i zaczęli pić społem. Bracia spostrzegli zmianę w Dżerdżelesie i dalejże wypytywać go troskliwie:

— Co ci jest, czegoś taki nachmurzony?

— Postarzałeś, Dżerdżelesie, Boga mil

— Darinka z Plewla kazała cię pozdrowić, powiada, że odkąd odszedłeś, śpi sama.

Dżerdżeles milczał. Starszy Moricz mówił niewesołym i prawie dobrotliwym tonem ostatecznych straceńców, a Dżerdżeles odnosił

¹⁾ Biały zawój noszą ci, którzy byli w Mekce.

²⁾ Kowacze — ulica w Sarajewie; kowacz — kowal.

się poufnie i przyjaźnie. Młodszy uśmiechał się ciągle.

— Z pewnością wstałeś dziś lewą nogą — śmieje się starszy Moricz. bezgłośnie i krótko. Dzierdżeles poziera na nich w milczeniu. Czuje już w sobie spokój, ból się uciszył i złość ochłodziła, tylko mu jeszcze ciężko. Patrzy na nich i wydają mu się dziećmi, głupcami i szalonymi, dzieckiem zresztą jest w jego pojęciu każdy, kto nie widział smukłej Włoszki w szerokiej sukni z zielonego jedwabiu, o małej główce nad futrzanym kołnierzem. Milczy więc.

Zaczęli go namawiać, aby szedł z nimi popołudniu na jarmark. Wzdragał się. Przy obiedzie dopiero poczuł nudę, zmiękł i przystał.

Na wierzchołku wzgórze znajdowała się zielona polana, otoczona wielkimi, rzadkimi sosnami i otwarta ku zachodowi. Tu rozłożył się obóz cygański. Gorzały ogniska, dudniły bębny, dźwięczały kastaniety i tamburina. Bez ustanku tańczono „kolo.“ W słońcu jesienno-go dnia płonęły barwy kolorowych ubiorów cygańskich, wśród których panowała barwa czerwona. Jadło się, piło, biegano na wyścigi, śmiało, przewracało, a śpiewało bez końca!

Koło jednego ogniska siedzieli Dzierdżeles, Moricze i kilku chłopców z Priboju. Pili rakiję. Dzierdżelesowi wydawało się z początku, że jest kwaśna, ale częstowali go wszyscy wędliną, dzień zaś był ciepły i piękny, więc pił, a gdy wychylał do dna szklanek, to widział jak się wierzchołki ciemnych sosen kołyszą się na wiosennym niebie. Właśnie mówił do niego jeden z kupców: — Kiedym usłyszał, duszo, żeś przyjechał, zamknąłem natychmiast sklep, idę, rzekłem, aby go zobaczyć, otom jest... Przerwało mu klaskanie i śmiech, muzyka się zmieszala; na huśtawkę weszła Zemka.

Zemka była to młoda rozwódka i to po raz trzeci, giętka, o zielonych oczach, wydawała się bladą w porównaniu z innymi cygankami. Mówiono, że nikt nie mógł jej sprostać w rozpuście...

Huśtawka wisiała na jodle i fruwała wysoko, razem z Zemką; z tyłu popychały ją cyganięta, a Zemka, trzymając się mocno za sznur konopny rozkrzyżowanymi rękami, brała rozmach coraz większy. Twarz jej była blada, oczy zamknięte, przelatowała linje horyzontu i rysowała się na niebie, jej szarawary plątały się i zwijały w sto fałd, powiewały i migały w powietrzu. Dzierdżeles, siedząc nisko przy ogniu, przeprowadzał oczami jej ruchy i za każdym razem,

gdym się podniosła i zarysowała prawie poziomo na tle nieba, a potem wracała w nagłym upadku, w głębi jego istoty zjawiała się jakaś słodka tęsknota i przeszywało go zimne drżenie, wprost niesamowite, jakby to on sam znajdował się na huśtawce. Pił coraz prędzej i coraz weselej.

Zemka nie przestawała się huśtać; widać było, że ciężko dysy i jest coraz bledsza, ale huśtała i huśtała, a za każdym razem, kiedy znalazła się na najwyższym punkcie, otwierała oczy, by w słodkim przerażeniu spojrzeć na zorną rolę i rzekę pod górą. Z początku obserwowano ją w milczeniu i ze zdumieniem, ale pomału śmiechy i pijackie pieśni rozbrzmiały znowu. Cygani i chłopcy z Priboju zaczęli pokrzykiwać i przygadywać kobiecie, która usłyszeć ich nie mogła.

— Hej, popatrz tu Zemko!

— Nie krzycz, zleci nieszczęsna!

— Niech leci, na miękkie upadnie...

— Ot, dla niej poduszka!

— Ha, ha, ha-a-a-a!

— Ji-h! Machnij się, Zemka!

A Zemka się zmęczyła. Cyganięta przestały ją popychać. pęd był coraz mniejszy, kołysała się jeszcze swym własnym ciężarem, coraz wolniej, coraz wolniej, aż wreszcie nogi jej dotknęły trawy i zeszła, zadyszana i roześmiana.

Dzierdżeles siedzi i patrzy, poci się i rozkłada ręce — żegnaj rozsądku! — poniosły go wesele i piękność i te rozwiane suknie jedwabne, co szeleściły, jak szardar i mieszały się z wierzchołkami sosen i pogodnym niebem. Jego żalność przesiliła się jakby i przeszła od razu w hulaszczą wesołość. Przez chwilę tylko było mu niby żal i wstyd, że tak prędko odrzekł się swego bólu i tego gniewnego postanowienia, wtedy ze spaceru na szosie, że nie zniesie w bliskości siebie nic kobiecego... ani kotki!... ani kotki!..

Naraz cyganki, po długich szepcach i naradach, zgodnie zaśpiewały „Zaniamogłeś. Dzierdżelesie, Aman! Aman!“ Wszczął się gwałt i krzyk, wszyscy nowi patrzą, a on

nie widzi już nikogo. Oczy mu płoną i twarz jaśnieje, czuje się słaby i lekki, a ruszyć się nie może w żaden sposób. Tę pieśń wymyśliły cyganki srebrnicke przed paru laty, gdy Dzierdżeles leżał całe lato, lecząc się z rany, zadanej mu ukradkiem przez kogoś, ponieważ podchodził jednego piątku pod okna córki Naribega. Ale on nie pamięta ani tego piątku, ani okna, ani córki Naribega. Tej już dawno zapomniał! Przypomina sobie tylko, że leżał słaby i ranny, przez okna otwarte słysząc szum i plusk wezbranego potoku, na brzegu rozłożył się obóz świętojurski i cyganki po raz pierwszy śpiewają o Dzierdżelesie, pieśń idzie cichem od wzgórze do wzgórze; jęczy i szumi cała dołina srebrnicza od pieśni i potoku, a on leży i tak jest osłabiony, że nawet kubka z lemonjadą do ust podnieść nie może. Pamięta, pamięta, tylko nie może oddzielić tego obozu od tamtego, w którym choremu śpiewano, wszystko mu się miesza, pieśni i granie, i picie i ludzie ówczesni i dzisiejsi, a wśród tego wszystkiego huśta się Zemka wielkim, śmiałym łukiem i on łowi ją oczyma i dreszcz go przechodzi, raz gorący, raz zimny, jękdymby koło serca. W ostatnich dniach prawie nic nie jadł, więc moc wypitego trunku czyni go nagle pijanym. Słońce już zaszło. Powiał chłodny wiatr, sosny zaszumiały, dym ognisk stał się modry, mrok nadchodził. Dzierdżeles zamawia cygana, żeby mu grał nad głową na cienkiej strunie i co chwila zamachuje się ręką, chce go bić, wymyśla na jego skrzypce i na tego, kto je zrobił, a Moricz Starszy zatrzymuje mu rękę i uspaka ją. To znów rodzi się, idzie łowić Zemkę. Moricze go powstrzymują i śmieją się. Ośmielili się i chłopcy z Priboju i też chichocą. Robi się wrzawa, a Dzierdżelesowi język się pląze.

— Ona jest mój gnębiciel!

Podnosi się, rusza, rozstawia rękę i idzie ku Zemce, która stoi, otoczona cygankami obok huśtawki i cmokcze arnauckie, czerwone cukierki.

Dzierdżeles jest bez pasa, więc spodnie mu opadają i fałdują się, przez co, i tak krótkie jego nogi, wyglądają jeszcze krótsze i grubsze. Pas jedwabny, koloru wiśniowego, wlecze się za nim, polany rakiją i mazany popiołem. Ledwo się trzyma na nogach, kołuje i tacza się na lewo i prawo. Cyganki wrzeszczą ze śmiechu, cyganie się rozzuchwili... Muzyka ustaje.

— Ha, trzymaj go, ziemio!

— Popchnij go, pociągnij!

— Jaatak!

(c. d. n.)



Młode lata Księcia Adama Czartoryskiego

(1776 — 1805)

„Była to kobieta już wiekowa — pisze ks. Adam Czartoryski, lecz jeszcze rzęka bardziej niska, niż wzrostu wysokiego, dość otyła. Chód jej, trzymanie się i cała osobistość czarowały godnością i elegancją. Nie miała ruchowości w ruchach, lecz wszystko w niej cechowało się szlachetnością i powagą. Była to jednak rzęka, poruszająca wszystko nu tem swoim. Oblicze jej, już pomarszczone, pełne wyrazu, świadczyło o jej dumie i żądzy rozkazowania. Na ułtach jej grały ciągle uśmiechy, lecz cokolwiek pamiętała o jej czynach, dla tego spokój ten maskował tylko nieugiętą wolę. Zbliżywszy się do nas, rozjaśniła oblicze i rzekła: „Wiek wasz przypomina mi ojca waszego, gdy n go po raz pierwszy ujrzała. Spodziewam się że wam w kroju tym dobrze?” Tych kilka słów starczyło, aby nas zarz otoczył tłum dworaków z nadskakiwaniem i uprzejmością. Zaproszono nas do stołu. Był to zaszczyt nielada, z uwagi, że zaproszono zwykle do stołu, towarzystwo najściślejsze, dworskie“.

Rezultatem tego posłuchania było polecenie Imperatorowej, by młodzi książęta Czartoryscy wstąpili do służby wojskowej w Rosji, w stopniu oficerów gwardji. Wkrótce potem ukazał się dawno już oczekiwany, ukaz o skonfiskowanych majątkach polskich. Rozdano je natomiast ministrom, generałom, gubernatorom i urzędnikom zasłużonym, między innymi i Polakom, którzy ważne zasługi oddali Rosji. Rodzinie Czartoryskich fortuny nie zwrócono, lecz darowano ją młodym książętom: Adamowi i Konstantemu Czartoryskim.

Fortuna ta obejmowała czterdzieści dwa tysiące dusz. Starostwa Łatyczew i Kamienie przypadły w udziale hrabemu Markowi. Siostry Czartoryskich w rozdawnictwie tem były pominięte. Skutkiem układu dobrowolnego między rodziną, uważano tę darowiznę za pozorną i młodzi książęta dla ojcu nieograniczoną do zarządu fortuną plenipotentją.

W dniu Nowego Roku 1796 młodzi książęta otrzymali nominację na paziów. Stało się to z okazji przybycia do stolicy księżnej Saxe-Cobourg z trzema dorosłymi córkami, z których jedna z woli imperatorowej miała zostać żoną

wielkiego księcia Konstantego, podówczas 17-letniego młodzieńca. Wybór padł na księżniczkę Julję, która miała przyjeżdżać z Anną i przyjąć prawosławie. Wkrótce nastąpił chrzest i uroczystość ześlubin, które spowodowały szereg świetnych festynów na dworze i w stolicy.

W zwykłe wieczory odbywały się w sali dyplomatowej zebrania ściślejsze dworskiego towarzystwa. Imperatorowa siadywała do kart z Zbowem i dwoma innymi dygnitarzami. Przed kolacją jeszcze kończyła partję i oddalała się do swoich apartamentów, do których po chwili, pożegnawszy się ukłonem z obecnymi, udawał się i Zubow“.

V.

Dni piękne uprzedzające zazwyczaj, epokę wielkich mrozów w stolicy, sprowadzają na wybrzeżu tłum spacerujących. Do ich liczby należał i wielki książę Alexander, czystokroć sam, czasem i w towarzystwie małżonki. Zwiększało to naturalnie powohych spacerów, których, uczestnikami bywali i nasi młodzi książęta Czartoryscy.

Ilekoć ich na przechadzce spotykał wielki książę Alexander, zawsze się zatrzymywał, okazując młodym Polakom szczególną łaskawość. Z dniem każdym osuły w ten przyrodowy zawiązany sposób zaczęły się, przybierając charakter zażyłości.

Na wiosnę dwór przeniósł się do Taurydzkiego pałacu, gdzie imperatorowa czuła się bardziej swobodna, wielki książę kiedy niekiedy pojawiał się na wybrzeżach. Pewnego razu spotkawszy księcia Adama polecił mu przybyć do pałacu, gdzie chciał mu okazać urządzenie ogrodu.

„Udałem się punktualnie — pisze ks. Adam — na miejsce wyznaczone. Żałuję, że nie zanotowałem sobie dokładnej daty dnia tego. Miała ona wpływ stanowczy na losy mego życia i na przyszłość mojej ojczyzny. Od tego to

dnia i od rozmowy, z jakiej to zdam sprawę, datuje się przywiązanie moje do osoby księcia, przyjaźni, że tak powiem, jej motywy i następstwa wypadków szczęśliwych i nieszczęśliwych, łańcuch których trwa i trwać będzie długie jeszcze lata.

„Zaledwem wszedł, wielki książę wziął mnie za rękę i zaproponował mi udać się do ogrodu, abym mógł osądzić sprawność ogrodnika angielskiego, który umiał wprowadzić wiele różnaitości i urządzać ogród tak, że koniec jego, mimo małej przestrzeni widzialnym nie był. Przebiegliśmy ogród we wszystkich kierunkach w czasie trzygodzinnej ożywionej rozmowy.

„Wielki książę oświadczył mi, że zachowanie się moje i brata mego, rezygnacja nasza w położeniu przykrem, w jakim znajdowaliśmy się spokój i obojętność, z jakimi przjęliśmy wszystko, nawet łaski, jakie dla nas przykremi być musiały, zjednały nam serce jego i zaufanie, że sympatyzuje z uczuciami naszymi, że je odgaduje i stwierdza, że odczuwa potrzebę wyjawienia przed nami swego zapatrywania się i że nie zniósłby myśli, byśmy go sądźli być inszym, aniżeli jest nim w istocie.“

Oświadczył, że nie podziela w zupełności pojęć i doktryn gabinetu i dworu, że nie pochwała polityki swej babki, że życzył powodzenia walkom naszym o swobodę, że opłakiwał ich upadek, że Kościuszką był w jego oczach wielkim przez cnoty swe i sprawę jakiej bronił, że to była sprawa ludzkości i sprawiedliwości. Wyznał mi, że despotyzmu, gziładz się objawia, nie znosi, że kocha wolność i że ona wszystkim ludziom się należy, że przyjmował w duszy szczerzy udział we francuskim przewrocie, że potępiając jego zbrodnie, niemniej życzy dobrze republice. Mówił z poszanowaniem o swoim przewodniku p. de la Harpe, jako o człowieku wielkiej cnoty, mądrości i surowych zasad, charakteru energicznego. Jemu to zawdzięcza to wszystko, cokolwiek w nim było dobrem i co umiał, mu zawdzięcza przedewszystkiem zasady prawdy i sprawiedliwości, które pielęgnuje w sercu, zaszczeplone przez p. de la Harpe“.

(c. d. n.)



Z literatury kobiecej francuskiej

Dobrze zaczęły swą działalność „Cahiers féminins” (zeszyty, kobiece) wydawane przez firmę Blond et Gay, wydając książkę Marji Lenéru „Szczęście drugich”. Marja Lenéru była bezwątpienia jednym z najciekawszych umysłów kobiecych naszej epoki. Bardzo inteligentna, bardzo piękna, młodzianka, bo zaledwie 15-letnia dziewczyna została wskutek niezwykle ciężkiej odry dotknięta głuchotą, połączoną z trudnością mówienia i wielkiem osłabieniem wzroku. Przez pewien czas była poprostu głuchoniemą i ślepą, przyczem władze umysłowe — gorzka ironja losu — zachowały zupełną jasność i sprężystość i dziewczyna przepędzała długie godziny w ciemnym pokoju, z głową opartą na dłoni, starając się, jak to później wyznała „przypomnieć sobie wszystko, czego niegdyś nieuważnie słuchała”. Ale silna, energiczna natura Marji Lenéru nie mogła ugiąć się zupełnie pod tym strasznym ciosem, który wstrząsnął nią do głębi, lecz jej nie złamał.

Zacząła się reakcja, powoli poprawiły się nieco i warunki jej zdrowia. Widziała, choć wzrok jej był zawsze nieco zamglony i mogła mówić z pewną trudnością wprawdzie. Niezwykła inteligencja, niepospolity talent pisarski zwróciły na nią uwagę najznakomitszych pisarzy i krytyków francuskich. Napozór uważano ją za prawie szczęśliwą. Piękna, elegancka, sławna, zdawała się przewyżczać fatalność losu. I dopiero po śmierci młodej dziewczyny dziennik jej odsłonił prawdę i heroiczne wysiłki tej pięknej duszy, aby nie uchodzić za nieszczęśliwą, choć nią była.

Książki i sztuki Marji Lenéru napiętnowane są stygmatem cierpienia, które zgłębia każdy problemat, aż do bólu i nie cofa się przed najstraszliwszą prawdą. W „Szczęściu drugich” widzimy dość niezwykłą i skomplikowaną sytuację. Anna de Lostanges daje się przekonać przeoryszy klasztoru Sacre Coeur et siostrze Gastena Alexandra, wdowca, ojca czworga dzieci, i zaślubia tegoż wdowca, aby wychować sieroty. Pozatam wie zgóry, że zawsze pozostanie obojętną i obcą swemu mężowi, który oplakuje wiecznie swą pierwszą żonę, Szarlotę, zmarłą przy narodzinach czwartego dziecka. Anna wychodzi więc zamąż jak inne kobiety wstępują do kla-

sztoru, wyrzekając się własnego życia i szczęścia, a całkowicie poświęcając się innym. Cień Szarloty panuje wszechwładnie nad całym domem i całą rodziną, Anna zgodziła się na to i przyjmuje to, jako rzecz naturalną i konieczną.

Ale powoli czar młodej i pięknej kobiety zaczyna działać. Umarli ustępują miejsca żywym. Najstarszy syn, który jeden przypomina sobie matkę, zostaje oddany do kolegium Ojców w Anglii, dwie młodsze córeczki uwielbiają Annę i kochają ją, jak matkę, której zresztą nie znały. Najmłodszy uważa się za jej syna i Anna, kochająca go szalenie, wzywa mężowi przyrzeczenie, że pozostawi go w tem przekonaniu aż do jego pełnoletności, łatwo jej to przychodzi, gdyż i w pamięci męża postać Szarloty i stara piastunka próbują walczyć przeciw Annie, ale ustępują zwyciężone. Jednak lojalność Anny wzdraga się przed zajęciem miejsca Szarloty w życiu i w sercu męża. Powoli jednak i ta przeszkoda zostanie usunięta i Anna zacznie żyć nie tylko dla „szczęścia drugich” ale i dla własnego. Jest w tem lekki cień gorzkości, wyrzeczenia się, własnej, wspaniałomyślnej ofiary, ale jest i nieubłagane prawo życia, które każe rósć kwiatom na mogiłach.

Marja Lenéru ma prawie męskie pióro, ale na chwilę nie traci kobiecej subtelności uczuć.

Bardziej kobiecą i bardziej współczesną jest panna Zuzanna de Callias w swej powieści „Lucyna i Reginka”. Lucyna młoda panna z dobrej rodziny zrujnowanej, mieszka w małym atelier na Montmartre i zarabia lekcjami rysunku na utrzymanie własne i swej starej babki. Ale staruszka zapada ciężko na zdrowiu. Ku rozpaczy Lucyny sąsiadką jej na dole jest młoda kobieta pędząca dość lekki żywot, mająca u siebie wiecznie gości, którzy grają, tańczą i denerwują w najwyższym stopniu chorą.

Pewnego dnia Lucyna decyduje się na krok heroiczny i puka do drzwi młodej kobiety i prosi ją grzecznie lecz stanowczo, aby zechciała uciszyć nieco swych gości. Młoda kobieta, mocno umalowana i dość wzywająco wystrojona okazuje szczerzy żal i zwraca się do Lucyny z tak szczerem i odruchowym współzuciem, ofiarowując jej swe usługi, że młoda dziewczyna samotna i zmęczona pracą i ciągłym czuwaniem przy chorej, nie

może się zdobyć na odrzucenie tych ofiarowanych usług. Reginka okazuje się prostą i dobrą mimo swego lekkiego życia. Załatwia sprawunki, pomaga pielęgnować chorą, oddaje tysiące usług, a gdy staruszka umiera, zajmuje się wszystkimi kłopotami i formalnościami, starając się ulżyć w ten chociaż sposób wyczerpanej i zbolącej Lucynie.

Pod wpływem czystej, spokojnej, silnej natury Lucyny Reginka przeobraża się. Porzuca swe rzemiosło. wynajmuje swe mieszkanie, sama sprowadza się do małego pokoiku w mieszkaniu Lucyny i zaczyna pracować. W tymże czasie Lucyna poznaje młodego inżyniera Roberta Helmer, który na herbatce u matki jednej z jej uczennic, zainteresował się żywo młodą, energiczną i samodzielną dziewczyną. Helmer nie dba o posag i dość szybko decyduje się ożenić z Lucyną, która przywiązuje się bardzo do swego narzeczonego. Ale pewnego dnia Helmer przynosi Lucynie bilety do teatru i zastaje Reginkę. Mimo że ta ukryła się w najciemniejszym kącie pokoju, bystry wzrok młodego człowieka dostrzeżę ją i wzrok jego wyraża wielkie niezadowolenie.

W parę dni potem wspólna ich znajoma powtarza Lucynie dość brutalnie wyrażone żądanie Helmer'a, aby natychmiast zerwała z Reginką. I żądanie to i sposób, w jaki zostało wyrażone, oburza Lucynę, która pod pierwszym wrażeniem pisze do Helmer'a list dość dumny i stanowczy. Na list ten nie otrzymuje żadnej odpowiedzi, a wkrótce potem dowiaduje się, że Helmer otrzymał wspaniałą posadę na Wschodzie w Egipcie, i opuścił Paryż na lat kilka.

Lucyna znosi odważnie rozczarowanie i szuka pociechy w pracy.

Ale wkrótce przekonywa się, że obecność Reginki w jej domu szkodzi jej w oczach wielu osób. Sama Reginka też czuje się nieszczególnie, nie może zbyć swej pracy, ma ciągle kłopoty materialne.

I pewnego dnia, gdy Lucyna powraca do domu, zastaje tylko list, w którym Reginka została zaangażowana do pewnej palarni opium na Wschodzie, gdzie żądają od kobiet trochę kultury, trochę śpiewu i muzyki. Woli to niż biedę i pracę.

Lata mijają. Lucyna wybija się, powoli staje się znaną artystką dekoratorką, której powierzają naj-

ważniejsze prace. Zostaje sama i niezależna, ale mimo wszystko tkwi w jej duszy wspomnienie Roberta Helmera. Tymczasem Robert Helmer, przebywający w Aleksandrii, poznaje tam młodą, uroczą kurtyzanę, Nellę, która, gdy usłyszała nazwisko młodego człowieka, cofa się prawie z odrazą, ale po chwili rozmawia z nim przyjaźnie. Nella jest zręczna, uroczą i bardzo muzykalna. Powoli Robert Helmer przywiązuje się do niej do tego stopnia, że postawiony wobec groźnej perspektywy małżeństwa Nelli ze starym, ekscentrycznym Anglikiem, żeni się z nią sam. Wtedy dopiero Nella wyznaje mu prawdę, że jest ową Reginką, z powodu której porzucił kiedyś swą narzeczoną. Ale zaślepienie Roberta wybaczają wszystko. Nie zda on sobie nigdy sprawy z tego, że Nella właściwie została jego żoną przez zemstę i aby zapewnić sobie spokój byt.

„Nie żałuj go — mówi do Lucyny, z którą widzi się po raz pierwszy i ostatni po swym powrocie

do Paryża. Tego rodzaju ludzie nie wari, aby podobne tobie kobiety zniżały się do nich, ale będą zawsze dość dobrzy dla takich jak ja. Oni wszyscy deklamują o niepokalanej czystości kobiet, a zaślubają nieraz podobne mnie. Ty jesteś kobietą jutra, która umie egzystować sama, ja jestem kobietą z wczoraj, kobietą powojem, która musi, albo obwinąć się wkoło drzewa opiekuńczego, albo iść na złą drogę“.

Książkę kończy zabawna uwaga starej stróżki, która, poznawszy w Regince dawną lokatorkę, pyta Lucynę, co się z nią stało. A kiedy znana artystka, zajmująca wybitne stanowisko, odpowiada stróżce, że Reginka wyszła za mąż, ta ostatnia woła: „Mój Boże, to jednak jej się lepiej udało, niż pani!“

W inne zupełnie krainy prowadzi nas książka panny de Lignac „Wielkość pokornych“. W przedmowie swej Georges Polti, znany autor neo-katolicki francuski, przypomina miłość Chrystusa dla dzie-

ci i mówi, że mają one jeszcze w sobie coś z zaziemskiego świata, coś, z czego obdziera je z czasem życie, ale czego mętne wspomnienie pozostaje zawsze na dnie duszy w postaci dziwnej, niczem niezaspokojonej tęsknoty.

Może dlatego panna Marie de Lignac pochyla się z taką miłością nad tajemnicami dusz i życia dzieci i stara się odmalować je nam, jako istoty równie bliskie nieba, jak ziemi. Bardzo ładna jest krótka nowelka, w której w dniu mobilizacji stary dziad każe wnukowi pocałować małe niemowlę, aby ten pocałunek dziecka był mu talizmanem w dniach niebezpieczeństw. Dla autorki umysł dziecka, to w minijaturze umysł człowieka, ale z domieszką czegoś, czego umysł ludzi dojrzałych nie jest zdolny pojąć. Zauważyć tu można również, jak u wielu autorów neo-katolickich wielką wiarę w cuda, we wpływ aniołów i szatanów. Wieje z tej książki trochę duchem średniowieczny, a jednak jest zupełnie współczesna. *Dr. M. Kastarska*

REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

CHOROBY ZAWODOWE GOSPO- DYNI.

„Pionier nauki gospodarstwa kobiecego — mówił do mnie Dr. Gommes, gdy parę miesięcy temu odwiedziłam go w jego zacisznym gabinecie lekarskim — musi być encyklopedystą“. Wprawdzie jeden badacz nie może zgłębić wszystkich gałęzi nauki i sztuki, które znajdują zastosowanie w gospodarstwie; zmuszony jest wybrać jakąś specjalność, jeśli chce osiągnąć istotnie wartościowe rezultaty. Ale nigdy nie należy zapominać, iż dom jest zamkniętą w sobie, organiczną całością i jak żyjąca istota zanika w razie naruszenia nieodzownej harmonii jego składników. ↓

↓ Dlatego słusznie wymaga Dr. Gommes od apostołów racjonalnej gospodarki domowej jak najszerszych horyzontów umysłowych. Winni oni mieć ciągle na uwadze historyczne ukształtowanie zajęć domowych, ich nierozzerwalny związek z całym współczesnym ustrojem ekonomiczno-socialnym; tylko w tym wypadku uda im się uniknąć doktrynerstwa i szematyzacji. Mu-

szą mieć jasne wyobrażenie o technicznych, finansowych i higienicznych założeniach dobrego prowadzenia domu, by nie popaść w przecenianie jednych czynników na niekorzyść innych.

Dr. Gommes w znacznej mierze odpowiada temu ideałowi pioniera. Lekarz chorób nerwowych, a więc obznajomiony z konfliktami, które kryje w sobie nowoczesne życie, świadek niejednego dramatu, mającego za punkt wyjścia trudności wielkomięskiej egzystencji — doszedł dwoma drogami myślowymi do pracy naukowej nad gospodarstwem domowym.

Jako lekarz w przychodni, położonej z poblizu Hal paryskich, zaczął się w czasie wojny zastanawiać nad problemem taniego, a racjonalnego odżywiania i nad palącym zagadnieniem wielkich miast: jak użytkować masy trwoniących codziennie produktów spożywczych. Psychiatrę uderzyło dziwne zjawisko, że, podczas gdy choroby, a zwłaszcza zmęczenie zawodowe stało się przedmiotem wyczerpujących studjów ze strony

poszczególnych uczonych i potężnych organizacji, jak np. Międzynarodowego Biura Pracy — zatrudnień domowych, tak bardzo wyczerpujących organizm, nie poddano dotąd niemal zupełnie naukowej analizie.

Od szeregu lat stał się Dr. Gommes entuzjastycznym propagatorem organizacji pracy domowej w myśl zasad Taylor'a i Fayol'a, poświęcił temu zagadnieniu szereg broszur i artykułów, oraz coroczny cykl wykładów w „College libre des Sciences Sociales“. Jako lekarz spojrział na sprawę reformy gospodarstwa z innego punktu widzenia, niż technicznie zorientowani autorzy amerykańscy; fakt, iż jego konkluzje zbiegają się w zupełności z wnioskami M-rs Frederick, stojącej w ośrodku ruchu tajlorystycznego, a także z poglądami p. Molle-Weissowej, wytrawnej gospodyni i działaczki społecznej — świadczy wymownie o logicznych walorach tego prądu.

Chcąc zapoznać Czytelniczkę „Bluszczu“ z głównymi linjami poglądów Dr. Gommés'a zreferuję im najświeższy jego artykuł p. t. „Le-

surmenage menager et sa prophylaxie*).

Autor wymownie opisuje zmęczenie „harującej” od rana do nocy gospodyni; niedoceniając ogromu tych wysiłków nawet przez kobiety przypisuje trafnie atawistycznej pokorze i fałszywemu wstydo wi, odnoszącemu się do gospodarstwa, jako do czynności wulgarnej, o której się w dobrem towarzystwie nie mówi.

A jednak nawet powierzchowny obserwator łatwo skonstatuje, że te „błaha” zajęcia wywołują poważne zmiany w sercu, w narządach oddechowych i przewodzie pokarmowym. Nietylko kobiety, obarczone dziedzicznie, lub osłabione chorobami, ale nawet t. zw. trywjalnie „konie robocze” uskarżają się nieraz na bóle głowy, bicie serca, zawroty. Obok cierpień chronicznych wymienić należy częste nieszczęśliwe wypadki przy pracy, jako to: przepuklinę, krwotoki, zwichnięcia stawów namiętności i ciężien przy podnoszeniu ciężarów, wreszcie niemniej poważne następstwa np. wykrzywienie kręgosłupa i t. zw. „plafus”. Ujemny wpływ nadmiernych wysiłków odbija się też na potomstwie i wpływa na zwyrodnienie rasy: przedwczesne porody powodują chorowitość niemowląt, osłabienie nie pozwala matkom na karmienie dzieci własną pierśią.

Niemniej ciekawy jest wpływ zajęć domowych na psychikę kobiety. Słusznie przytacza dr. Gommeś wzmiankowane już przez znakomitego psychologa P. Janet’a liczne zaburzenia psychiczne na tle niewykształconego zmysłu organizacyjnego, niemożności przystosowania się do nagłych zmian w trybie życia. Znamy wszyscy z doświadczenia te nieszczęsne ofiary nerwów, niespokojne, niezdolne, do skoncentrowania uwagi na czemkolwiek poza drobiazgami gospodarstwa. Ileż to razy widzimy, jak paroletnie boba ciągnie mamusię za suknię, prosząc błagalnym tonem, by wysłuchała cisnących się do główki zapytań, a ona nie ma czasu dla własnego dziecka, ba, nie słyszy nawet, zaabsorbowana nieustannym kołowrotem bieżących kłopotów. — Niektóre z pośród nerwowych zaburzeń przybierają kliniczne formy manji, chorobliwego rozdrażnienia, nawet depresji, graniczącej z melancholją (Janet). Przypominamy w związku z tem, że w czasie inflacji w Niemczech, sanatoria były przepełnione gospodyniami, których mózg nie był w stanie opanować zawrotnych liczb... astronomicznych jak pisano wówczas w gazetach, przepędzały one czas na kreśleniu nieskończonych

kolumn zer. Se non é véro é bene travato...

W naszych warunkach gros pracy spoczywa na barkach służącej. Ale dr. Gommeś, zgodnie z wyrażeniami na tych szpaltach niejednokrotnie poglądami, podkreśla, iż problemat ulega tem samem tylko przesunięciu. Trwonienie materiału ludzkiego jest w obu wypadkach równie groźne dla ekonomji narodowej.

Dodać należy, że mimo tak oczywistych zjawisk nawet w Niemczech, ojczyźnie ubezpieczeń społecznych, upłynęło sporo lat, zanim ochronę pracowników rozciągnięto na służbę domową, a we Francji pracownicy musieli się uciekać do nader rozciąglej interpretacji kodeksu cywilnego w myśl t. zw. teorii ryzyka zawodowego, aby chociaż w razie nieszczęśliwego wypadku przy pracy zapewnić służącej jakiegokolwiek środki egzystencji.

Samo przez się rozumie się, że praca domowa zawsze wymagać będzie pewnego wysiłku fizycznego, a wysiłek umysłowy pod niektórymi względami raczej zwiększy się, niż zmniejszy. Ale jak wiemy, postępy ostatnich lat dały nam liczne sposoby skrócenia czasu pracy i wykonywania jej w możliwie korzystnych warunkach.

Według dr. Gommeś’a należy przedewszystkiem zaprowadzić naukę gospodarstwa domowego na wszystkich szczeblach szkolnictwa: niższym, średnim i wyższym, pod kontrolą jednej instancji, a nie, jak bywa nieraz w obecnej chwili, wielu ministerstw np. Pracy, Oświaty, Rolnictwa. Ujmuje on metodykę nauczania w trzy zasadnicze grupy:

Pierwsza obejmuje teorię organizacji: Stosowanie planu ogólnego (routing), procedurę ujednostajnioną (standariding), dającą optimum wydajności, rozkład czasu (scheduling), według teorii Tajlor-Fayol i ich uczni. Dr. G. sygnalizuje, że Instytut gospodarczy w Lacken, w Belgji, za inicjatywą swego kierownika, dyrektora ministerstwa rolnictwa, Dewynst’a naucza tej metody z najpomyślniejszymi rezultatami. Na kongresie t. zw. „Vailantes Fermieres” (Dzielnych gospodyń wiejskich) osiągnięto w pokazach wydajność większą o 100% od przeciętnej.

Drugim punktem programu powinno być obznajomienie uczennic ze sposobem posługiwania się maszynami i dokonywania w domu drobnych napraw. Temu właśnie

*) „Scapel”, organ belgijskiego — Związku Lekarskiego, 22 listopada 1924 roku.

przedmiotowi poświęcił dr. G. kilka wykładów w „Colège Libre”.

Wreszcie nie należy zaniedbywać rozwoju mięśni i ich koordynacji. Każdorazowy impuls mózgowy powinien, jak w dziedzinie sportu lub w grze na fortepianie, przekształcić się zwolna w automatyczny refleks, wymagający nieznanego wysiłku. W tym celu zaleca dr. G. ćwiczenia gimnastyczne, zwłaszcza tak często obecnie przepisywane przez lekarzy ćwiczenia oddechowe, doniosłość których ocenili pierwsi Yogowie induscy; następnie ćwiczenie zręczności rąk i wskazywanie najlepszego układu przy każdej czynności. Podkreśla znaczenie rytmu i melodji przy wykonywaniu pracy domowej, jak wiadomo, kwestji tej, w szerszym zakresie, poświęcił w swoim czasie wspaniałą książkę („Praca a rytm”) Karol Bucher. Z żalem stwierdzić można, że coraz rzadziej rozlega się w naszych mieszkaniach śpiew przy pracy, tak częsty niegdyś po dworach i chatach; zdarza się nawet, że pani surowo gromi służącą za „głośne zachowanie się”, nie licując z dystynkcją domu.

Jednym z oryginalnych pomysłów dr. G. jest projekt nauczania gospodarstwa domowego w szkołach męskich. Czy zbliżyłoby to nas do przepowiedzianego przez antifeministów stanu rzeczy, do tego społeczeństwa á rebours, w którym mężczyzna będzie cerować bieliznę, a kobieta — wykładać na uniwersytecie. Kobiety są już w dużej ilości profesorami, to nie przeszkadza im wychodzić zamąż, rodzić dzieci i doglądać czystości mieszkania. A mężczyźni ze średnich klas na zachodzie i w Ameryce Północnej daleko więcej troszczą się o gospodarstwo, niż nasi panowie i zdarza im się czasem ugotować obiad w zastępstwie żony. Klasycznym przykładem jest sportsman angielski, zmuszony podczas parodniowych wycieczek do wykonywania wszelkich czynności gospodarskich i poczytujący sobie za punkt honoru nieuciekanie się do pomocy kobiecej. A jednak nikt nie ośmielił się twierdzić, że role obu płci uległy w Anglii wypaczeniu wskutek bardziej harmonijnego przygotowania do życia. Prostu życie, a doktryna — to dwie różne rzeczy i realizacja nigdy nie przybiera karykaturalnych kształtów, jakie posiadała w umyśle fanatycznych zwolenników lub przeciwników.

Zresztą dr. G. rozpatruje tę sprawę raczej z punktu widzenia lekarskiego. Uważa, że, o ile nadmierna praca domowa pociąga za sobą zgubne wyniki, o tyle zasto-

sowana w sposób umiarkowany od- daje nieocenione usługi, dzięki wprowadzaniu coraz to innych kompleksów mięśniowych, dzięki swym walorom estetycznym i uczuciowym: Gospodarstwo bywa źródłem pomysłów, wzruszeń, refleksyj i nawet rozrywek, o jakich niema mowy przy jednostajnych funkcjach innych zawodów. Ma ono zwłaszcza nieocenione znaczenie pedagogiczne po szkołach dla dzieci niedorozwiniętych.

Każda gospodyni powinna, zdaniem dr. G. podlegać na równi z robotnikami fabrycznymi, regularnym badaniom lekarskim celem uniknięcia chorób zawodowych. Przy pierwszych oznakach chociażby silnego przemęczenia wskazane jest oderwanie od zajęć domowych i zupełny spokój. Niemcy, ten klasyczny kraj sanatorjów wprowadziły nawiasem mówiąc, w życie postulaty dr. Gomme's'a. U nas często słyzy się jeszcze ironiczne uwagi, że pani domu wyjechała na wieś, by „odpocząć po próżniactwie” — w Niemczech gospodynie ciężko pracują, ale co pewien czas, o ile środki na to pozwalają, zwykły udawać się do zacisznego zakładu leczniczego, położonego niekiedy w odległości paru kilometrów od ich mieszkania (np. w Berlinie). Tam w surowo przestrzeganym odosobnieniu od męża, dzieci i innych rozkoszy domowego ogniska, wężsja gospodyni nabiera sił do dalszego pełnienia swego — w ścisłym tego słowa znaczeniu — zawodu.

F. Sachsówna.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



RECEPTA PRZECIW ROZWODOM

Pewien sędzia w Ameryce, L. Mac Gee, którego specjalnością są sprawy rozwodowe, doszedł na zasadzie olbrzymiej ilości rozpatrywanych przez siebie spraw do przeświadczenia, że istnieje środek niezawodny przeciwko rozwodom. Ułożył on t. zw. „Dziesięcioro przykazań dla żon i mężów” własnego pomysłu i twierdzi, że o ile wszyscy małżonkowie chcieliby się do nich ściśle stosować — rozwody przestałyby istnieć.

Oto są owe przykazania:

Dla żony.

1. Nie bądź rozrzućną, nie maruj grosza, zapracowanego nieraz z ciężkim trudem przez męża.
2. Dbaj o czystość twego domu i otoczenia.
3. Staraj się zawsze wyglądać estetycznie i powabnie.
4. Nie bądź zalotną w stosunku do innych mężczyzn.
5. Nie sprzeciwiaj się umiarkowanej i rozsądnej surowości męża względem dzieci.
6. Nie spędzaj zbyt wiele czasu ze swą matką.
7. Nie opowiadaj twym znajomym o sprawach domowych.
8. Nie mów nigdy przed nikim źle o twoim mężu.
9. Bądź zawsze pogodną, uprzejmą i ustępliwą w drobnostkach. Obojętna żona często musi ustąpić miejsca troskliwej, i czulej kochance.
10. Bądź taktowną i delikatną.

Dla męża.

1. Nie skąp nigdy na wydatki domowe.
2. Nie wtrącaj się do spraw natury czysto gospodarczej.
3. Bądź pogodnym. Nic nie oddziaływa gorzej na nerwy zmęczonej domową pracą kobiety, jak powrót do domu męża nachmurzonego, ponurego i milczącego.
4. Bądź rycerskim i uprzejmym. Mężczyzna, zapominający wobec własnej żony o obowiązkach uprzejmości towarzyskiej, nie zasługuje na miano prawdziwego gentlemana.
5. Staraj się przypodobać twej żonie tak, jakby była jeszcze twoją narzeczoną.
6. Nie bądź drobiazgowym i nie sprzecznaj się o każdą drobnostkę.
7. Zakładaj sobie ognisko rodzinne, o ile możliwości, zdala od najbliższych krewnych twoich i twojej żony.
8. Nie trzymaj lokatora.
9. Staraj się utrzymywać twe ubranie i rzeczy w czystości i porządku.
10. Bądź dobrym i sprawiedliwym dla twych dzieci.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby wszystkie żony i wszyscy mężowie stosowali się ściśle do dekalogu sędziego Mac Gee, pożycie małżeńskie stałoby się rajem, a rozwody istniećby przestały. Jednego tylko zapomniał dodać „wynalazca” tego cudownego środka: ilu też z jego klientów udało mu się namówić, aby, zaniechawszy wzajemnych żalów i waśni, postanowili z „wynalazku” tego skorzystać?

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIET

O POLSKĄ KOBIECĄ FEDERACJĘ SPORTOWĄ

Od dłuższego już czasu wszczęła p. Muszałówna na łamach „Stadionu” sprawę Polskiej Kobięcej Federacji Sportowej.

Poszczególne jednostki i grupy kobiet, zajmujących się sportem mówiły na ten temat już dawniej, projektowały, marzyły, ale jak dotychczas na tem się kończyło.

Do szerszego ogółu narady te nie dotarły, nie wie on do tej pory, że istnieją jakieś Państwowe Sportowe Federacje Kobięce, nie wie, że jest i Federacja Międzynarodowa, (dla nas wolałabym nazwę Związek, jak również utarte już określenie sportsmenka niż sportswomen, używane przez pannę M.) nie wie, że czasby o tem i u nas pomyśleć.

Pisząc swego czasu o Klubie Wioślarek i zaznaczając, że jest to jedyny klub sportowy, kobięcy w Polsce, wspomniałam, że ruch sportowy kobiet grupuje się jak dotychczas, poza tym klubem w sekcjach klubów męskich tylko, lub też, że panie należą wprost do klubów męskich, często jako jakaś podrzędna kategoria członków, lub są traktowane zgoła jako goście bez żadnej możności udziału w życiu sportowym, jak to jest n. p. w Warszawskim Towarzystwie Wioślarzy.

Sekcje kobięce są w bardzo słabym kontakcie między sobą. Męskie władze klubów nie interesują się niemi prawie wcale, lub interesują się nieumiejętnie. Inicjatywę w organizowaniu życia sportowego pozostawia się jednostkom często nieodpowiednim, lub takim, których siły zadanie to przerasta, jednem słowem panuje w dziedzinie tej kompletna dowolność dyletantyzmu i anarchja.

Do wprowadzenia zamętu przyczyniają się niejednokrotnie pisma sportowe, które umieszczają artykuły ludzi, nie mających pojęcia o sporcie kobięcym, byleby tylko coś w tej dziedzinie zamieścić, bo jednak nie wypada już pomijać tego tematu milczeniem. I tak, jedni piszą o niezbędności koedukacji w sporcie, inni obstają za odrębnymi organizacjami kobięcymi, nie uznając nawet trenerów męczyzn w klubie kobięcym, konstantując równocześnie pewien brak sił instruktorskich wśród pań i niemożność z tego powodu dalszego rozwoju życia sportowego, jedni twier-

dzą n. p. że lekka atletyka jest zupełnie nieodpowiednim sportem dla kobiety, podając równocześnie programy lub wyniki zawodów lekkoatletycznych, urządzanych przez ogólnie znane i uznawane kluby i t. p.

Opinia, nie tylko szerszego ogółu, ale ludzi najbardziej do tego powołanych, lekarzy higienistów, sportsmanów, kierowników wychowania fizycznego i t. p., błędzi po omacku w lesie przesądów i frazesów, którymi operują wszyscy, mówiąc o wychowaniu fizycznym kobiety.

Nic też dziwnego, wobec takiego stanu rzeczy, że każde ugrupowanie, każdy klub prowadzi treningi kobiece dorywczo, niesystematycznie, bezplanowo, marnując dużo młodych sił i energii.

I dlatego tak pospolitym jest u nas typ sportsmenki, która próbuje po kolei wszelkich sportów, szuka klubu, gdzie naprawdę mogłaby dojść do jakichś rezultatów, przekonuje się jednak szybko, że straciła moc czasu i sił, przychodząc na nieporządnie i dorywczo prowadzone treningi, że zawsze brak dla kobiety trenerów, zawsze treningi kolegów mężczyzn są na pierwszym planie, dla nich rasowe łodzie, dla nich konie, jeśli klub jeździ konno i t. p. i t. p. i że doszedłszy do pewnego, niskiego zresztą, poziomu wyrobienia sportowego, nie ma już od kogo i gdzie uczyć się dalej; do zawodów staje często zupełnie nieprzygotowana ze szkodą dla zdrowia i zupełną niepewnością wyniku, nie mając pojęcia o wyrobieniu sportowym swych współzawodniczek i innych klubów, co potęguje tylko treść i zdenerwowanie.

Wieleż to namysłów, wiele ważeń i obaw przed każdymi zawodami kobiecymi, wiele razy zawodniczka cofa się w ostatniej chwili przed sławą jakiejś gwiazdy wschodzącej w innym klubie, cofa się, by przekonać się po zawodach, że nie tylko mogła śmiało stawać, ale że napewno mogła liczyć na zwycięstwo.

Dla tych wszystkich przyczyn, pomimo znakomitego wprost materiału ludzkiego, wyżyny, jakie osiągają Polki, są naogół bardzo skromne, w zetknięciu się z zagranicą ustępujemy zawsze miejsca, nie mówię już Angielkom, Francuskom, lub Szwedkom, ale Czeszkom i innym narodowościom.

Na to, żeby ująć bieg życia sportowego kobiet u nas w kraju w pewne ramy, żeby nakreślić plan pracy, wybrać najodpowiedniejsze dla kobiety gałęzie sportu, ujedno-

stajnić metody treningów, programy zawodów i rozgrywek, zorganizować jednym słowem to życie, niezbędne jest stworzenie instytucji, łączącej w sobie wszelkie ugrupowania sportowe kobiece, jednoczącej wszystkie wysiłki w tym kierunku, instytucji, która dawałaby dyrektywy i kontrolowała pracę klubów, byłaby jednym słowem centrum, punktem kontaktu dla wszelkich, najróżnorodniejszych poczynań sportowych kobiet.

Instytucją taką może być tylko odrębna Kobięca Federacja Sportowa taka, jaka jest już w krajach, gdzie życie sportowe kobiet osiągnęło już silny rozwój.

Istnienie takiej Federacji umożliwi nam, prócz wytyczenia ścieżki w kraju jasnej drogi, po której ma iść rozwój naszego życia sportowego, co pozwoli nam uniknąć wielu błędów i marnowania zapasów, a nawet wprost zdolności fizycznej wielu kobiet, należenie do Międzynarodowej Federacji Kobiej.

Ze dziś sport kroczy po drodze współzawodnictwa i współpracy międzynarodowej, wiemy wszyscy, że bez tegoż współzawodnictwa, bez mierzenia swych sił w zawodach międzynarodowych, bez trenerów cudzoziemców, bez możliwości zapozowania się z metodami treningów narodów o wyższej od naszej kulturze sportowej, że jest ona u wielu niestety wyższą w każdej prawie dziedzinie sportu, nie można sobie już dziś wyobrazić życia sportowego, to jest oczywiste.

Kobiety Polki na arenę światową jeszcze nie wystąpiły. Nieliczne wyjątki, jak p. Dobieńska na ostatniej Olimpiadzie, p. Ziętkiewiczowa, pozostają chlubnymi, ale wyjątkami.

I może jeszcze za niski jest poziom naszych sportsmenek, może z mało pracy systematycznej wło-

żyliśmy w racjonalne treningi, za nadto „po łebkach” bierzemy się i do za wiele sportów na raz, żeby już myśleć o współzawodnictwie z zagranicą, zamiast organizować pracę „od podstaw” w kraju tylko.

Tak na ewno pomyśli niejedna z moich czytelniczek. I miałyby poniekąd rację, gdyby nie to, że zachodzi fakt, który nas wprost zmusza do przyspieszenia tętna naszego życia sportowego, do wydobycia z siebie maximum wysiłku w tym kierunku, a faktem tym jest, że za półtora roku w r. 1926, odbędą się w Amsterdamie drugie kobiece igrzyska olimpijskie, urządzone przez Międzynarodową Kobięcą Federację Sportową.

Nie mając swojej Polskiej Federacji nie możemy być członkami Federacji Międzynarodowej, nie możemy wziąć udziału w igrzyskach.

I znów Polska pozostanie w tyle i to nie tylko poza granicami zachodnio-europejskimi i skandynawskimi, ale poza Czechami, Litwą, Jugosławią i t. p., gdyż tamtejsze kobiety wezmą udział w igrzyskach.

I znów na lata odsuniemy możliwość tego pierwszego publicznego wystąpienia, pokażemy światu swoją nieułoność i słabość i to nie z rzeczywistego braku sił, a tylko przez brak woli i chęci do organizowania się. L. K.

POKÓJ ŚWIATA A PANEUROPA

Wojna obrzydła światu kulturalnemu. Narody w osłabieniu skorzystały na strasznej, krwawą daną dziesięciu milionów egzystencji ludzkiej, rzuconych w otchłań wojny światowej. Wyczerpani z sił przeżarci nędzą ekonomiczną, zwycięscy i zwyciężeni do dziś dnia temu swobodnego złapć nie mogą.

A widmo wojny jeszcze czatuje u progu gabinetów rządowych. Ciężka pułczyna dziesięciolecia wojny wraca jako zjawisko nieliczalnej masakry w przyszłości. Widmo wojny przedrzeźnia się ludom, urąga egzystencji rodzin, ścięło sobie drogę poprzez naukę, sztukę, humanitarne i społeczne zdobycze.

Patrząc w oczy temu groźnemu zjawisku, społeczeństwa powojenne zbroją się w puklerz idealizmu politycznego. Nad całą naszą obecną epoką zawisło jedno tylko zagadnienie najważniejsze: sprawa pokoju międzynarodowego.

Pięć ostatnich dążeń, zamiast osłabnąć w miarę oddalania się krwawej pamięci lat wojennych, z każdą chwilą wrastają głębiej w grunt ludzkości, czy to w formach celów organizacyjnych, czy jako wyknięcia myślowe i podświadome odruchy mas. Nietylko Ofcjalne zielone sukno stołów dyplomatycznych zabłysło — zda się — młodą zielenią nadziei ludów „Veto” przeciw wojnie — niegdys hasło beznadziejnych idealistów — znalazło się teraz na ustach najwyższych przedstawicieli rządów demokratycznych. Genewski protokół

OD ADMINISTRACJI

Przypominamy, że celem uniknięcia przerwy w wysyłce „Bluszczu” należy najrychlej przesłać prenumeratę za marzec

Czek P. K. O. dołączamy

Ligi Narodów, — plany urzeczywistnienia pokojowego współżycia państw zapełniają teki polityków — i opracowywane są przy użyciu całego „arsenału” wiedzy, statystyk i badań, wśród nieodzownych szacherek politycznych targów, ekonomicznych zażyłości narodowościowych.

Uwadze działaczy i obserwatorów ruchu pacyfistycznego narzuciła się niedawno książka p. t. „Paneuropa.” Teoretyczne wywody autora, hr. Coudenhove-Kalergi zmierzają mianowicie ku utworzeniu z państw skłóconej między sobą i przez to słabej na zewnątrz Europy jednego organizmu politycznego, Stanów Zjednoczonych Europy, wzorem wielkiej federacji amerykańskiej. Wkrótce doktryna, siłą faktów, wyrzuciła teoretyka Wszecheuropy na arenę międzynarodowego działania. Hr. Coudenhove Kalergi stał się propagatorem czynnym i chorażym swej idei; objeżdża poszczególne kraje, przekonując o doniosłości proponowanej przez siebie reformy. Europa, zdaniem jego, dojrzała już do zrealizowania idei Stanów Zjednoczonych — idei nie nowej, bo dyskutowanej przez filozofów wieku Oświecenia — lecz dziś narzucającej się po doświadczeniach ostatniej wojny, jako remedium przeciw nowym niebezpieczeństwom krwawych walk narodów między sobą, jako podstawa i gwarancja pokoju europejskiego. Europa, najbardziej kulturalny, lecz mały kontynent musi też pamiętać o swem bezpieczeństwie na zewnątrz: militarnym i ekonomicznym, wobec rosnących błyskawicznym tempem w potęgę kulturalną Ameryki i Azji.

Te podstawowe argumenty, przemawiające na korzyść federacji paneuropejskiej, otwierają hr. Coudenhove-Kalergi nadzieję na urzeczywistnienie jego idei. Dla swej propagandy stara się on zjednać rządy i ludzi. Objężdżając kraje europejskie, konferuje z przedstawicielami rządów i parlamentów, z wybitnymi politykami i mężami stanu. Zamiarem jego jest, aby w każdym kraju powstała grupa parlamentarna, względnie organizacja społeczna, przychylna idei paneuropejskiej, aby tym sposobem opinia

publiczna Europy mogła być uświadomiona, poruszona, przekonana. Wreszcie po dotatecznym przygotowaniu terenu, konferencja wszecheuropejska rozpoczęłaby obrady nad ujęciem programu w konkretne fotmy.

W wędrowkach swych po Europie hr. Coudenhove-Kalergi przybył też niedawno do stolicy Polski. Przyjęcie, jakiego doznał entuzjasta nowej Europy, było równie życzliwe i równie nieco sceptyczne, jak w innych krajach. Któż dziś nie pragnie pokój! Ale czy tak łatwo jest uwierzyć w uniwersalne lekarstwo na osiągnięcie pokój!

W konferencjach swych hr. Coudenhove-Kalergi podkreśla szereg trudności, jakie muszą pokonać zwolennicy Paneuropy. Zagroza przeciw całej demokratycznej Europie sowiecki ustrój Rosji i jej program propagandystycznej polityki zagranicznej. Ameryka jest straszną rywalką na polu ekonomicznym. Wreszcie antagonizmy państw europejskich między sobą, pretensje o granice posiadania, mogą doprowadzić do wybuchu nowej wojny, straszniejszej, niż poprzednie, grożącej wygubieniem całych narodów.

Stojąc na gruncie traktatu wersalskiego i nienaruszalności granic istniejących, autor „Paneuropy” widzi załatwienie wewnętrznych sporów europejskich w nadaniu szerokiej uprawnień mniejszościom narodowym i połączeniu państw unią celną. Sądzi on, że i Anglia mimo odrębnego ustosunkowania się obecnie do sprawy pokoju europejskiego, nie przeszkodziłaby zjednoczeniu polityczno-ekonomicznemu starego kontynentu. Wiare swą pokłada propagator Stanów Zjednoczonych Europy w sile opinii publicznej i woli pokojowej ludów europejskich. Jeśli demokracja wszystkich krajów będzie szczerze pragnęła pokojowej federacji — Paneuropa powstanie.

Warto parę słów poświęcić autorowi „Paneuropy.” Splot ras i krwi, odziedziczony po przodkach, jest w tym 30-letnim zaledwie polityku, niejakim uzasadnieniem jego idei międzynarodowych. Uro-

dzony w Tokio, a wychowany w Wiedniu, syn dyplomaty austriackiego i Japonki, hr. Coudenhove Kalergi nazwiska swe wynosi, jedno z flamandzkiej rodziny, drugie po greckich dziadach. Słynna jego prababka, z domu hr. Nesselrode, spędzając całe życie w środowiskach europejskich pamiętała, że urodziła się w Warszawie i uczucia wo uważała się za Polkę.

Do jakiej narodowości można by zaliczyć dziedzica takiej genealogii? Jest on — syn wschodu i zachodu — predestynowanym paneuropejczykiem.

J. Kr—a

Z KSIĄŻEK

W. Busch, „Wesołe opowieści” w obrazkach; wybór i tekst polski Benedykta Hertra, wyd. II, nakładem Stow. Pracowników Księgarskich, str. 107.

Na książkę składają się cztery zabawne historyjki, przedstawione w 96-ciu obrazkach, którym towarzyszą dwu lub czterowierszowe wyjaśnienia. Nastrój ilustracji i wierszyków zgodny. Pierwsze — to karykatury; drugie żartobliwe proste i bezpośrednio komentarze obrazków.

Można by dyskutować nad tem, czy dziecku małemu — a dla małych dzieci nie wyżej lat 7 miu nadaje się omawiana książka — należy wogóle dawać do ręki karykatury. Jeśli zaś przyznamy im pewien udział w kształtowaniu myśli i fantazji dziecięcej, to „Wesołe opowieści” wobec ich humoru i żywej akcji, usuwające w cień elementy brzydoty czy nieprawdopodobieństwa kształtu, przedstawiają się korzystnie.

Książka może się znaleźć w dość zasobnych biblioteczkach dziecięcych jako urozmaicenie lektury, choć niezbędna nie jest.

Dzieci bawią się zarówno jej wierszem jak i rysunkiem, żalując czasem, że nie jest barwny.

Z. Szmydtowa.

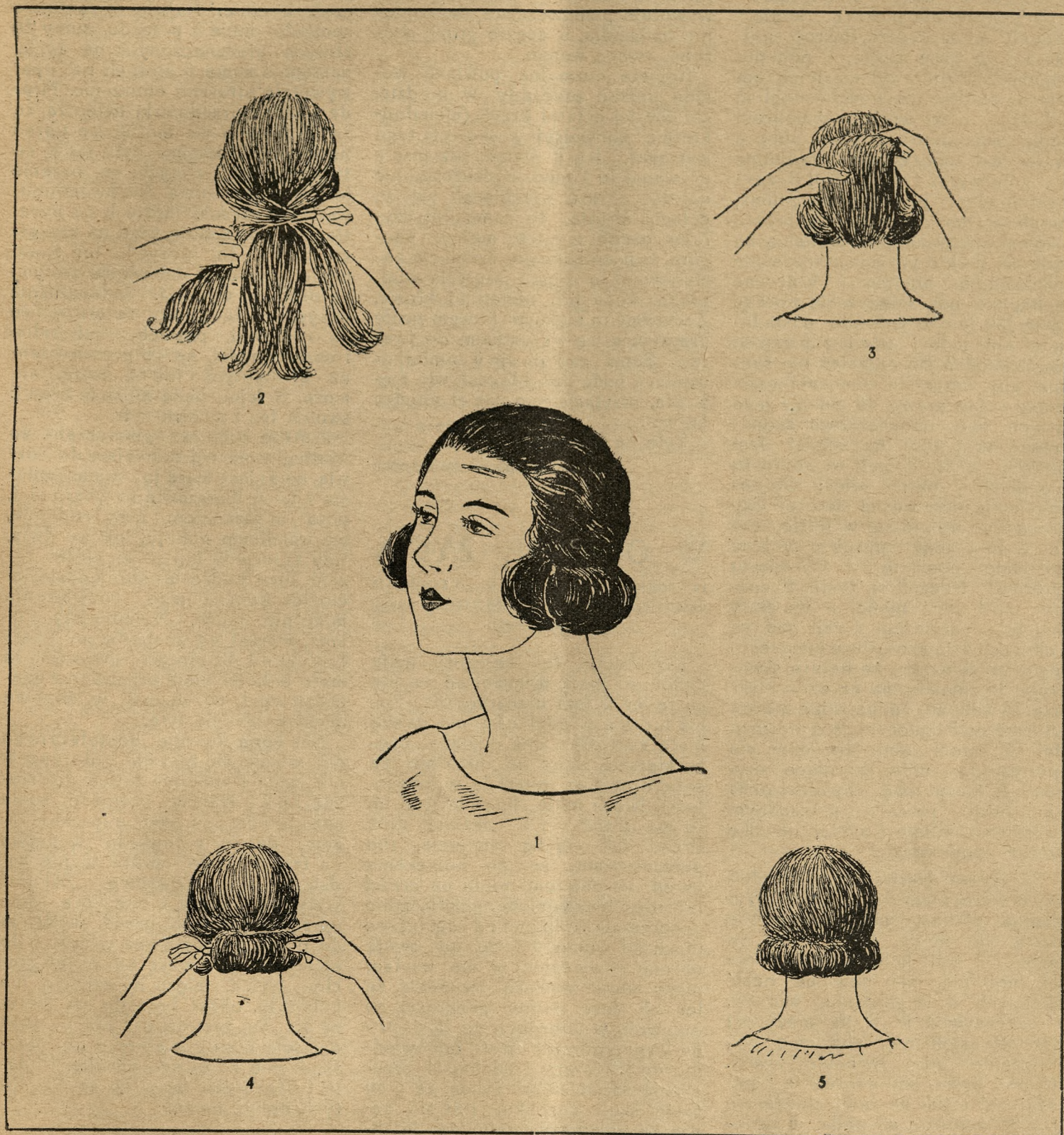
BEZPŁATNA PREMJA DLA KWARTALNYCH PRENUMERATORÓW „BLUSZCZU”

CZYTELNICZKI „BLUSZCZU”, które prześlą najpóźniej do 8-go kwietnia prenumeratę za II-gi kwartał b. r. oraz 70 groszy na kosztą polecionej przesyłki, czyli razem 15 zł. 10 gr. OTRZYMAJĄ jako bezpłatną premję PRZEŚLICZĄ KSIĄŻKĘ:

JACKA LONDONA „PRZYGODA” (THE ADVENTURE)

w znakomitym przekładzie Stanisławy Kuszelewskiej, ŚWIEŻO WYDANA przez E. Wendego i S-kę (cena księgarska 4 zł. 80 gr.), ZAWIERAJĄCĄ OPIS PRZYGÓD DZIELNEJ KOBIECY NA MORZACH POŁUDNIOWYCH.

MODNE UCZESANIE



Podajemy wam Miłe Czytelniczki najmodniejsze obecnie w Paryżu uczesanie, które nadając ładną formę głowie jest zarazem bardzo wygodne pod modne w tym sezonie kapelusze.

Aby główka miała wygląd jak na rys. 1 należy zaczesać wszystkie włosy na tył głowy, i oddzieliwszy

z każdej strony nad uchem promień włosów skrzyżować je, pozostawiając resztę włosów pod spodem (rys. 2).

W miejscu skrzyżowania spina się włosy mocno dwoma szpilkami, ułożywszy z nich poprzednio pukle przy policzkach. Następnie ujmuje się wszystkie włosy

w obie ręce i na dwóch palcach wskazujących zwiija się je w wałek (rys. 3) przypinając go od wewnątrz kilkoma szpilkami.

Aby połączyć wałek z puklami przy policzkach, trzeba rozciągnąć włosy (rys. 4) i od środka spiąć je razem, aby tył głowy miał wygląd jak (na rys. 5).

KĄCIK DLA PAŃ BRZYDKICH

Wszystkie uwagi z „Kącików“ i „Buduarów dla pięknych kobiet“ urągały mi szydlerczo, ilekroć spojrzalam w zwieciadło, i pomimo najlepszych chęci odalezenia tam jakichś śladów piękności—mogłam zaledwie, przy wrodzonej dobroci serca skonstatować, że oblicze moje jest conajwyżej ozdobione w miły wyraz twarzy. Mój Boże—westchnęłam pokornie zgnębiona, przybita, ba, oburzona poprostu swoim zachwalstwem istnienia na świecie, po którym spacerują same ucieleśnione boginie i królowne z bajek—cóż więc mają począć takie jak ja, to jest nie posiadające ani jednej uncji z przepisu na piękność? Bo przecież nie sposób, aby wszystkie ziemanki rozszucały sobie prawo do życia i jego uciach były obowiązkowo zaopatrzone w patent na urodę! Jest bowiem wiele kobiet, ot poprostu brzydkich—pytam więc: Co począć mają nieszczęsne sieroty? Czy gremjalnie utopić się w Wiśle, czy też w jakiś inny sposób przyblec anielskie postacie z dziewięciu chórów?—Jeżeli są takie, to znaczy, że były i nynie, a umierały śmiercią naturalną; jeżeli zaś są i chodzą i żyją szczęśliwe i uśmiechnięte, to dowodzi, że natura stworzyła je nieiako na przekór rzyknym rywalkom, zaopatrując w broń stokroć niebezpieczniejszą od urody! A zatem panie brzydkie, ale interesujące, miłe, czarujące, oryginalne, łączmy się aby się trochę zbuntować przeciw przesadnym przepisom mody i o niej chwilę wesole pogawędzić!

Zaczynam: pierwszym i zasadniczym warunkiem kobiety bez przydomka pięknej jest: stosować nie siebie do mody, lecz modę do siebie. Jeżeli kobieta ma twarz jak patelnia, nie powinna nosić obciętych à la garçonne włosów, a zaczesywać je o ile możności bezretensjonalnie, aby owo wykrzeszenie nie zwracało uwagi. (Gorzaj bywa, gdy włosów jest poniżej 115 sztuk na całej głowie, ale i na to znajdzie się rada w osobnej kronice). Jeżeli posiada odnoża choćby najdelikatniejszych jakości, lecz o obwodzie pecyny, przenoszącym normalną miarę podstawy przeciętnego bilardu—powinna starannie unikać modnych 35 centymetrowych spódniczek, płtykich pantofli, oraz skarpetek owiniętych w kostce.

Kapelusz żadnej z wymienionych kobiet nie powinien kształtem przypominać tjary, ani czaka z galo-

nem, a conajmniej nie powinien być wciśnięty poniżej brody, gdyż nadmierna gimnastyka szyi podczas każdego ruchu celem użycia potrzebego chwilami zmysłu wzroku, wywołuje przedwczesne nabrzmienie podgardla, a często grozi chorobą, zwaną wolem.

Kobieta normalna powinna wogóle unikać przesady w modzie, choćby jej ostatni krzyk (niejednokrotnie konwulsyjny skowyt) tego wymagał. Jeżeli Paryż przepisy używanie tu i owdzie pleuresy—nie należy odrazu przebierać się za całego strusia; to samo dotyczyłoby ozdób z futra małpy, kangura, czy arabskiego źrebca zastępowanego często szerścią wielbłąda, kozy lub nieletniej krowy. Zostawmy to pięknym, którym wedle przysłowia we wszystkim do twarzy. Same zaclawajmy umiarkowanie, a będą nas błogosławić mężowie, przyjaciele, a nawet ubodzy krewni!

Tyle na początek

życzliwa, mężna — ale brzydka.

W OBRONIE ŻYCIA

(z powodu mego artykułu „Egzystencja urzędniczkii pobierającej 150 złotych pensji miesięcznej).

Urzędniczki tej kategorii mają podobno mnie zlinczować. — nie mogę im w tem przeszkodzić. Życie ludzkie w ogólności ma dzisiaj małą wartość, a cóż dopiero osoby starszej, która już dużo ma za sobą a bardzo niewiele w przyszłości. Niech mnie linczują jeśli im to ma ulżyć w ich ciężkiej doli. Przed tak ciężką śmiercią, (bo przypuszczam, że po kobiecemu przed rozdarciem mnie na części lub ukamienowaniem, pokolą mnie doszczętnie szpilkami od kapelusza), niech mi wolno będzie na swoją obronę powiedzieć, że nie miałam nigdy nawet zamiaru twierdzić, że los ich jest godny zazdrości, że opływają w dobrobyt, że taka stopa wynagrodzenia jest odpowiednia do ich pracy i zdolności, przeciwnie zaznaczałam wciąż, że przy takiej skali zarobku, jest się nędza-ką, najgorszym gatunkiem inteligentnej proletarijuszki. Ale trudno, jesteśmy krajem biednym, zarobki u nas nie tylko są niełychanie niskie, (mówię o zarobkach inteligencji), ale o te niskie zarobki jeszcze walczy się ciężko, gdyż wszędzie na posadach rządowych i prywatnych są stosowane redukcje, a ofiarą tych redukcji padają w pierwszym rzędzie kobiety. Trzeba się więc godzić z losem i urządzić tak egzystencję, aby nie um-

rzyć z głodu, nie zmarznąć z braku dachu nad głową, braku ubrania, opału i t. p. i żeby już nie z braku rozrywek, lecz zaspokojenia potrzeb kulturalnych nie zdziścić zupełnie. Najwięcej zarzutów spotkało mnie z powodu sumy 50 złotych przeznaczonych na życie, następnie suma 6 złotych na opał wywołała straszne oburzenie. Młode i ładne urzędniczki twierdzą, że za 20 złotych nie można się ubrać nawet najskromniej. Były takie co twierdzą, że 7 złotych na opranie jest śnieszoną sumą. Nie kwestjonował nikt szczęściu złotych na światło, nie potrzebuję więc na szczęście bronić tej pozycji, toż samo miało miejsce z dziewięciu złotymi na drobne wydatki. Jednogłośnie wszystkie te panie twierdzą, że na rozrywki, potrzeby kulturalne i oszczędności, na co przeznaczam aż 27 złotych nic pozostać nie może. Klejno będę musiała bronić swoich tez i swoich cyfr.

Jeszcze więc raz powtarzam, że według mnie najrudniejsza do rozwiązania jest kwestja mieszkaniowa i ta w Warszawie przynajmniej, poza mieszkaniem przy rodzinie, we wspólnym pokoju, lub po dwie, trzy koleżanki lub przyjaciółki razem, przy budżecie stu pięćdziesięciozłotowym innego rozwiązania mieć nie może. Najmniejszy pokój, wprost od gospodarza, kosztuje 30 do 40 złotych, przyczem te małe pokoiki mają przeważnie centralny opał, co wynosi w zimowe miesiące drugie tyle.

Nasępna kwestja dostatecznego odżywiania się jest dla mnie zupełnie jasną i zupełnie łatwą do rozwiązania. Należy gotować sobie samej—o ile trzy panie mieszkają razem, dyżury gotowania wypadną co trzeci dzień i praca ta nie będzie wcale uciążliwą. Zakupić wszystko należy z wieczora dnia uprzedniego, rano przed wyjściem do pracy, przygotować wszystko do obiadu, — namoczyć kaszę lub grochy, wybrać mięso na szynclę lub befsztyki, obrać kartofle czy jarzyny itp. Po powrocie z pracy dwadzieścia minut wystarczy na przyrządzenie zdrowego posiłku. Podaję tu tabliczkę tego, co za 50 złotych nabyć można:

30 bułeczek, warszawianek	1.50	gr.
8 bochenków chleba	4.48	—
1 kg maki pszennej	75	—
$\frac{1}{2}$ kg. ryżu	35	—
$\frac{1}{2}$ kg. kaszy jęczmiennej	25	—
$\frac{1}{2}$ kg. manny	45	—
$\frac{1}{2}$ kg. kaszy hreczanej	40	—
1 kg. makaronu włoskiego	1.70	—
1 kg. słoniny	2.00	—
1 kg. szmalcu ameryk.	2.50	—
1 kg. masła	4.50	—
15 litrów mleka	4.80	—

30 jaj	3.00	—
6 kg. mięsa à 1.80	10 80	—
8 kg. kartofli	80	—
4 kg. marchwi, brukwi lub buraków	80	—
$\frac{1}{2}$ kg. szynki à 4.40	2.20	—
$\frac{1}{2}$ kg. kiełbasy à 3.20	1.60	—
50 gr. herbaty	75	—
1 $\frac{1}{2}$ kg. cukru	1.65	—
2 kg. jabłek kuchennych	1.60	—
1 kg. soli	30	—
korzeni i octu za	50	—
1 kg. cebuli	80	—
4 śledzie wędzone	1.20	—
2 kg. sera białego	2.00	—
Razem:	51.68	gr.

Wyniesie to dziennie mniej więcej:

275 grm. chleba,
45 „ bułki,
200 „ mięsa,
1 jajko,
$\frac{1}{2}$ litra mleka,
300 grm. kartofli i jarzyn,
50 „ cukru,
200 „ tłuszczów,
10 „ sera, wędliny lub śledzi,
13 „ suchej kaszy lub mąki.

Uważam, że przy tej ilości produktów można odżywiać się zupełnie dostatecznie, pijąc z rana dwie szklanki mleka i jedząc dwa kawałki chleba z masłem, zabierając z sobą bułeczkę z trochę sera lub czasem wędliny do południowej herbaty biurowej, jedząc na obiad sznycel, befszyk, kotlet, zrazy i t. p. z kartoflami, makaronem lub inną jarzyną.

Do wieczornej kolacji będzie herbata i jakaś kasza, jaja, kluski i t. p. okraszone słoninką. Niedzielne obiady, mając więcej czasu do dyspozycji, można urozmaicić gotując rosół na dwa dni i dając mięso z jakimś sosem, i dodając kompot z jabłek, lub innych tanich owoców.

Na razie stosowanie takiego spartańskiego jadłospisu będzie trudne, szybko jednak wprawa i doświadczenie nauczy nas masy ulepszeń, zmian i udoskonaleń, a zdrowie się znacznie polepszy.

Z odżywianiem się w domu ściśle jest związana kwestja opału, otóż przy tak skromnym budżecie nie może być mowy o paleniu pieca kafłowego, pożerającego 20 — 40 funtów (8 — 16 kg.) węgla. Są doskonałe, małe piecyki żelazne, oszczędnościowe, cztery do pięciu funtów węgla rozpala taki piecyk do czerwoności, są tak urządzone, że wybornie się na nich gotuje i smaży i grzeje wodę do zmywania naczyń. Pokój się nagrzewa momentalnie i ciepło to wystarcza zupełnie do rana. Od trzech lat używam takich piecyków w trzech pokojach, i jest w nich cieplej, niż w dwóch pozostających opalanych zwykłymi kafłowymi piecami. Trzy pudy, najwyżej cztery wystarczą do opalania takiego piecyka, co wyniesie trzy złote, pozostałe cztery złote użyjemy na naftę lub spirytus do gotowania śniadań i kolacji. Opranie oczywiście jest rzeczą trudną i przykrą, jednak wiele rzeczy trzeba się nauczyć i o wielu zapomnieć, drobne sztuki wypierze się na miednicy, grzejąc wodę na piecyku, a duże odda się praczce i 7 złotych musi starczyć na kilo mydła do domowego prania i na opłatę tej praczki — musi, bo więcej niema skąd wziąć. Kwestja ubrania, jest kwestją praktyczności i dobrego obmyślenia, nawet kupując gotowe ubranie można dzisiaj porządnie wełnianą suknię mieć za 60 złotych, a letnią za 30. Para zwykłych, mocnych bucików, kosztuje około 35 złotych, letnie płócienne pantofelki 18, dwa skromne kapelusze 25 i 20 złotych — razem 188 złotych, czyli 52 złote pozostają na pończochy, rękawiczki i remont bielizny.

O okryciu zimowem lub letniem oczywiście nie może być mowy, ale te rzeczy i w większych budżetach się nie mieszczą — tu musi przyjść na pomoc jakaś wieczórka, jakaś trzynasta pensja, jakaś gratyfikacja świąteczna, lub bilansowa. W taki sposób wykonany budżet musi mieć pozostałość na rozrywki, gazetę, abonament książki i na konieczne odłożenie kilkunastu złotych na czas choroby, koniecznej podróży, lub parotygodniowego bodaj wypoczynku. Za moją szczerą chęć do pomocy wam, kochane panie, linczujcie mnie teraz, jeżeli chcecie.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZ- NEGO

Góralce.

W każdej tablicy krojów podajemy dwa, lub trzy modele dzieciinne — w najbliższej znajdzie pani płaszczyk na lat 5. — Bielizna damska była podana na tablicy krojów w końcu zeszłego roku. — Wszycie rękawa jest bardzo zależne od figury i powinno być na niej dopasowane. Zaznaczamy miejsce, w którym rękaw spotyka się ze szwem na ramieniu.

P. S. z Grudziądza.

Życzenia pani postaramy się uwzględnić. — Rękawiczki przyjmują do reperacji wszystkie większe sklepy rękawicznicze.

P. Jadwidze K.

Doskonałym środkiem na robactwo jest proszek „Tanatol“, który można nabyć w składach aptecznych.

Trzeba przez dłuższy czas wysypywać nim kąty i pilnować równocześnie, aby w kuchni nie zostawały resztki produktów. Za skutek ręczę.

Lwowiance.

Nr. 7 „Bluszczu“ został wysłany we właściwym czasie.

P. S. K.

O szkołach gospodarstwa domowego zamieściliśmy artykuł w № 10 „Bluszczu“. Jeśliby pani chodziło o kursy urządzone jednorazowo proszę się zwrócić do Koła Młodych Ziemianek — Marszałkowska 149 w Warszawie.

Wzór na kapę umieścimy niedługo.

P. St. z Jarocina.

O ozdabianiu balkonów pisaaliśmy w № 10 „Bluszczu“. Wzory, można przenosić na ciemny materiał za pomocą białej, lub żółtej kalki, którą się kupuje w sklepach z przyborami rysunkowymi.

„Budżet domowy“ otrzyma pani w Redakcji „Biesiady“ — Nowy Świat 50 — proszę się wprost tam zwrócić.

Tiul geneueński już nadszedł — kosztuje 15 zł. metr, na żakiet potrzeba 1 m. 25 ct. — wysyłamy po otrzymaniu należności. O wełnę zechce się pani zwrócić do firmy S. Wegenko — Krucza 24, która z naszęgo polecenia załatwiać będzie zamówienia naszych czytelników.

Aby uzyskać sok z marchwi trzeba ją surową utrzeć na tarce i wycisnąć przez czyste płótno.

Wierzchem można zeszywać pantofle z materiału, który się nie strzępi, np. sukna lub wołoku. — Z materiałów miękkich trzeba zeszywać od środka, i każda podszwa da się odwrócić. Szyć okrętką znaczy zeszywać dwa kawałki materiału równo złożone drobnymi gestami skośnymi ścięgami, tworząc szew jak cienki wałeczek.

Jadącej do Krakowa.

Radzę sprawić elegancki kostium — brązowy lub granatowy. — Do niego jedną bluzkę skromną z wełny, sukienka, lub jumper odpowiedni w kolorze, drugą strojną, długą z jedwabiu koloru złotego, albo ivir haftowaną barwnie. Kapelusze niewielki z fantazyjnej słomki, plecionej w kilku kolorach.

Bronzowe półbuciki na średnim obcasie, na spacer i dzienne cho-

dzenie — pantofelki zamszowe, albo lakierowane od ubrania — no i naturalnie jakieś palto na wypadek deszczu, i do włożenia na jasną bluzkę, gdy się wychodzi wieczorem. Sądzę, że to zupełnie wystarczy.

Zropaczonej.

Prosimy o podanie adresu pod którym natychmiast prześlemy wyczerpującą odpowiedź.

Pani A. K. z Lubawy.

Wszelkiego gatunku i koloru bawełny D. M. C. dostanie Sz. Pani w Polskiej Centralnej Składnicy handlu niemi w Warszawie, ul. Krucza № 24 Stanisław Wegenko. — Plusz jedwabny wyczyścić z kurzu dobrze miękką szczotką, następnie wycierać gałgankiem tego samego co plusz koloru, lekko zwilżonym spirytusem. Prasować prędko na powietrzu po lewej stronie.

Pani S. C.

Dla otrzymania śnieżnej białości bielizny potrzeba: 1) aby woda była miękka, 2) aby mydło było w najlepszym gatunku, 3) aby osoba piorąca sumiennie i czysto wyprała z plam bieliznę. Do płukania żółtą bielizną, dobrze jest dodać łyżeczkę francuskiej terpentyny na 12 litrów wody. Sody zwłaszcza do perkalowej bielizny nie używa się wcale, bo żółknie. Plamy rdzawe wywabia się przez napuszczenie sokiem cytrynowym i przeciąganie następnie gorącym żelazem, powtarzać tę czynność, dopóki plama nie zniknie. Trykotinę prać w ciepłym rozgotowanym mydle barskim — nie trąć, tylko wyciskając, skoro czysta, wypłókać, wycisnąć z wody i rozłożyć na prześcieradle do wyschnięcia — wilgotną prasować po lewej stronie. Przerobić zawsze warto, choćby na letnią sukienkę. Dla uniknięcia kosztu, niech Pani wybierze fason w „Bluszczu“ i obstatuje formę przysyłając miarę swoją i numer dodatku i ryciny. Podług takiej formy można samej zrobić sukienkę.

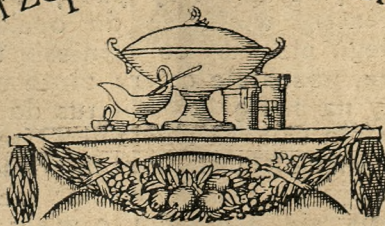
Na usunięcie włosów radzimy „Epil-Max“, do nabycia w firmie Perfection, Szpitalna 12.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, redakcja odpowiadać nie będzie.

Przepisy gospodarskie



ŚLEDZIE W OLIWIE

Powszechnie znane i używane są śledzie marynowane w occie, w sosie musztardowym i innych różnych ostrych przyprawach. Śledź sam jest pokarmem nadzwyczaj zdrowym, znoszą go najbardziej przez długotrwałe choroby wydelikaczone żołądki, ocet jednak robi go stanowczo szkodliwym dla ludzi o delikatnym trawieniu. Obecnie, kiedy mamy z Włoch i z Francji dobrą i tanią, bo tańszą od krajowego masła, oliwę, możemy marynować śledzie w oliwie. Są wyborne w smaku i dla wszystkich strawne i zdrowe. Śledzie, uliki lub szmalcówki umyć starannie w kilku wodach nie mocząc ich jednak dłużej, nie zdejmując skórki, oczywiście, zachowując mleczko lub ikrę. Usunąć jaknajdokładniej ości, uciąć głowy, aby niepotrzebnie miejsca nie zajmowały, ułożyć w słój kamienny czy szklany lub też w głęboką salaterkę, przekładając listkiem, pieprzem, ziele, plasterkami kwaskowych jabłek lub cytryny obranej z żółtej i białej skórki, zalać oliwą, aby objęło, przycisnąć talerzykiem, na to ciężarkiem i trzymać w suchym, chłodnym miejscu aż do użycia. Proste śledzie lepiej jest marynować w sposób następujący:

Wymoczyć godzinę parę, zdjąć z ości, odrzucić głowy, nie naruszając skórki, połówki śledzia utarzać w mące i usmażyć na oliwie, na bardzo wolnym ogniu, aby się nie rozpadły, ostudzić, przełożyć w salaterkę lub szeroki słój przekładając listkiem, pieprzem, zielem i paru łyżkami marmolady pomidorowej domowej lub kupnej. Zalać oliwą aby objęło, przycisnąć talerzykiem, na to ciężarkiem i trzymać na chłodzie.

Starannie przyrządzone w smaku przypominają sardynki.

SZCZUPAK SZPIKOWANY JARZYNAMI

Oczyszczonego szczupaka nasolić dobrze, niech tak postoi ze dwie godziny. Nakrajać w cienkie paski pietruszki, selerów, marchwi i skórki cytrynowej, i naszpikować tem gęsto szczupaka. Ułożyć go w ramę do go-

towania ryby, osypać aby pokryła krajaną cebulą, marchwią, pietruszką, selerami, dodać pieprzu, listka, ze dwa goździki, nalać wody po połowie z winem białym i łyżkę octu winnego. Gotować na mocnym ogniu, gdy ryba zmięknie wylać ją na półmisek, pokryć jarzynami z którymi się gotowała i polać smakiem od niej, (powinno go być bardzo niedużo). Podaje się do niej masło roztopione, lub też masło serdelowe w kulki sformowane.

SANDACZ NA ZIMNO (po rosyjsku)

Dużego, oczyszczonego jak zwykle, sandacza ugotować w smaku z jarzyn, cebuli, kładąc parę listków i sporo pieprzu i ziela. Oddzielnie ugotować jarzynki, jak na włoską sałatę, — np. marchewkę, pięć kartofli, buraczek ćwikłowy, kawałek włoskiej kapusty, średniego rozmiaru seler i t. p. pokrajać to wszystko w jak najdrobniejszą kostkę, dodać kilka również drobno pokrajanych rydźów marynowanych lub innych grzybków, ogórek kwaszony, kawałek cebuli hiszpańskiej utartej na tarce, nieco korniszonów, wszystko jaknajdrobniej pokrajane. Zagotować łyżkę masła w szklance wody, zaparzyć tem dwie duże łyżki mąki pszennej, mieszać w rondlu na blasze aż odstanie od rondla, gdy nieco przestygnie wbić w to dwa żółtka, dwie łyżki oliwy i tyle octu żeby się uformował bardzo gęsty sos. W tym sosie wymieszać przygotowane jarzynki, powinny formować jedną gęstą masę.

Sandacza gorącego wyjąć z wanienki, ułożyć na półmisku, ostrożnie zdjąć połowę jego, aby nie pokruszyć ryby, wyjąć starannie wszystkie ości, położyć przygotowane jarzyny, przykryć zdjętą połową, aby ryba była cała. Do pozostałego smaku włożyć żelatyny, licząc po dwa listki na każdą szklankę, precedzić, połową zalać rybę na półmisku, drugą połowę zastudzić oddzielnie i przed podaniem na stół tę galaretę posiekać i osypać rybę po wierzchu. Bardzo elegancko wyglądające i smaczne danie odpowiednie do wieczorowych bufetów. Do tego sos musztardowy, majonezowy lub też chrzan z octem.

MUS SZODONOWY

Szklankę cukru i trzy kawałki cukru otarte o skórki cytryny i utłuczone ucierać z sześciu żółtkami aż masa zbieleje. Sześć listków białej żelatyny namoczyć w zimnej wodzie, gdy dobrze zmięknie, wodę odlać, a żelatynę rozpuścić w pół szklance go-

raćej wody. Szklanę wina, (jeśli jest dodać kieliszek rumu lub araku) ogrzać na ogniu, wlać w to żółtko z cukrem i ubijać na ogniu aż masy znacznie przybywać i parować, strzegąc od zagotowania, gdyż żółtka mogłyby się zwarzyć. Wcisnąć sok z cytryny i odstawić od ognia, nie przestając ubijać trzepaczką. Gdy na wpół przestygnie, wlać żelatynę i dodać sztywną pianę ubitą z sześciu białek, wymieszać dokładnie i włożyć w kremową formę wylaną wodą i wysypaną cukrem. Wynieść na chłód na godzin kilka i zastudzić na lodzie. Podawać obłożony biszkopcikami lekkimi używanymi do czekolady. Proporcja na 10 osób.

KISIEL CZEKOLADOWY Z KREMEM

Stugramową tabliczkę czekolady rozpuścić na ogniu, w litrze mleka, dodać całowy kawałek wanilii, szklanę cukru, zagotować razem, zaprawić filiżanką mąki kartoflanej rozpuszczonej w takiejże ilości wody, zagotować raz jeszcze i wylać na głęboką salaterkę lub duży półmisek okrągły. Kwarterkę kremowej śmietanki, lub najlepszej, kwaśnej śmietany ubić na lodzie na pianę, zaprawić pół szklaną pudru cukrowego utłuczonego z wanilią, ułożyć na środku kisielka w wysoką piramidę, pozostawiając ciemne brzegi kisiela widoczne naokoło. Na tych brzegach ułożyć biszkopty lub makaroniki. Potrzywać z kwadrans na chłodzie i zaraz potem podawać. Czekoladę można zastąpić szklaną dobrego kakao.

KONFITURY Z POMARAŃCZ

Chociaż zeszłego lata, pisząc o różnych konfiturach, podałam i konfitury z pomarańcz, — obec-

nie, wobec sezonu tych owoców, na żądanie nowych czytelniczek daję najłatwiejsze przepisy ich smażenia.

Dawniej smażenie pomarańcz było obrządkiem niesłychanie skomplikowanym: — moczo no je, gotowane do miękkości, studzono między poduszkami, aby skórki nie stwardniały ect. ect. a rezultat był zupełnie ten sam co dzisiaj, kiedy się pomarańcze świeże, surowe, smaży od razu, bez żadnych wstępnych przygotowań.

Wybrać pomarańcze o grubej skórce, pokrajać na cienkie plastry, odrzucić resztki, które dać mogą gorzyc. Na funt pomarańczy bierze się półtora do dwóch funtów cukru, robi gęsty syrop z niedużą ilością wody (około filiżanki wody na funt cukru) na wrzący wrzUCA pomarańcze wraz z sokiem, które wypuściły z siebie. Zagotować na silnym ogniu, poczem dalej się smaży na bardzo wolnym ogniu, odstawiając razy parę na minut dziesięć od ognia, aby owoc się lepiej przejął syropem. Gdy plastry przezroczyste a syrop gęstnieć zaczyna dodać na każdy kilogram konfitur jedną pastylkę benzoesu rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody i odstawić. Po zupełnym wystygnięciu składa się je w słoje i przechowuje jak każde konfitury w suchym miejscu.

SKÓRKI POMARAŃCZOWE

Konieczn ie potrzebne w gospodarstwie jako dodatek do ciast, kompotów, legumin i t. p. Należy je smażyć wtedy, gdy po większym przyjęciu pozostanie ich duża ilość. Skórki moczyć w wodzie przez 24 godzin. Na każdy funt skórek odważyć funt cukru, na funt cukru szklanę wody. Syrop zagotować, wsypać na koniec noża soli cytrynowej (kwasku), wrzucić skórki

i smażyć na bardzo wolnym ogniu aż skórki się staną przezroczyste. Benzoes do nich nie jest konieczny. Jeszcze ciepłe układać w nieduże słoiki i po zupełnym wystygnięciu słoiki pozawiazywać.

KONFITURY Z POMARAŃCZ na sposób angielski „Orange Jams“

Dziesięć pomarańcz o bardzo grubej skórce zważyć, z takiejże samej ilości cukru zrobić syrop dodając tylko tyle wody, aby cukier zamoczyć. Pomarańcze pokrajać drobno wraz ze skórką, odrzucając starannie pestki, lub nawet dla pośpiechu przepuścić je przez maszynkę do krajania mięsa. Masę pomarańczową włożyć do syropu i smażyć na wolnym ogniu, wciąż męszając, aby nie przystała do dna i nie przyobalila się. Gdy cała stanie się przezroczystą składać jeszcze gorącą do małych słoiczek używanych do galaret. Te niekkształtne i łatwe konfitury są wyborne do herbaty i do przekładania tortów i ciast. Można też dodać na dziesięć pomarańcz sok z jednej, dużej cytryny, przez co konfitura nabierze miłego kwasku.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Gdy się ma urządzić przyjęcie — a dla szczupłości mieszkania nie można prosić naraz wszystkich znajomych, trzeba ich podzielić dobierając osoby, sympatyzujące ze sobą. Trud i koszt przyjęcia opłacają się o tyle, o ile goście są zadowoleni i bawią się wesoło. Na to składają się następujące warunki: dobrane towarzystwo — niezbyt duża ilość osób, aby ciasno nie było i dobrze zestawione a smacznie przyrządzone potrawy.

WSZYSTKIE CZYTELNICZKI, KTÓRE ZWRACAŁY SIĘ DO NAS W SPRAWIE
TIULU GENUENSKIEGO ZAWIADAMIAMY, ŻE TIUL JUŻ NADSZEDŁ. NA ŻA-
KIECIK PODANY W № 1 „BLUSZCZU“ TRZEBA 1 MT. 25 CTM., NA JUMPER
Z KRÓTKIMI RĘKAWAMI 1 MT. CENA METRA 15 ZŁ. TIUL WYSYLAĆ BĘ-
DZIEMY PO OTRZYMANIU NALEŻNOŚCI

* * *
Właściwe odżywianie utrzymuje zdrowie i jest jednym z najdziałniejszych środków leczniczych. Dla tego lekceważenie kuchni jest lekceważeniem zdrowia ludzkiego.— Jeśli kształcić się mamy na dobre i rozumne gospodynie i matki, to nie wolno nam zaniedbywać nauki gotowania i umiejętnego stosowania pokarmów do wieku i zdrowia naszych domowników.

Opis sukien i robót do Nr. 12.

203 Suknia z wełny granatowej przybrana popielatą suknią naszywaną taśmą granatową

204. Suknia z kraciastej tafty — kamizelka biała ozdobiona guziczkami.

205. Suknia z piaskowego sukienka, przybrana wyszyciem z fiołkowej wełny — krawat fiołkowy.

206. Palto z materiału wytłaczanego w deseń — dół i kołnierz z gładkiego sukna, lub aksamitu.

207. Suknia z ciemno brązowej wełny przybrana pasami koloru złotego i guziczkami.

208. Kostjum dla młodej paniątki z granatowej gabardyny — wyszycie czarne.

209. Żakiecik dla dziewczynki od lat 10 do 13 z welwetu granatowego.

210. Spódnica z bokiem układanym w fałdy.

211. Gładka sukienka spodnica, zapinana na guziki.

212. Spódnica fantazyjna — bok układany w fałdy.

213. Bluzka dla starszej osoby z czarnej, lub ciemnej wełny, przybrana pasami z fularu deseniowego.

214. Bluzka z białej fanzy wykończona pliską electric.

215. Bluzka z popeliny koloru „brique” przybrana haftowanym galonikiem.

216. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 10 z materiału w dwóch kolorach.

217. Kostjum angielski z ciemno zielonego sukna.

218. Suknia koloru kreciego, ozdobiona barwnym haftem.

219. Sukienka z lekkiej wełny dla dziewczynki od lat 6 do 10. Pasek z szerokiej aksamitki.

220. Sukienka z lekkiej wełny w kratkę dla dziewczynki od lat 6 do 10.

221. 222. 223. Mała setwetka, lauffer i serweta na stół. Haft richelieu na białym płótnie.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50 suknia zwyczajna „ 2.50 bluzka „ 2.00 formy dzieciinne „ 2.00 bielizna „ 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

P. H. W. w Dąbrowie Córniczej. Ma pani rację, że wszystkim defektom skóry winna woda. Twarda i nieodpowiednia woda do mycia, jest największym wrogiem ładnej, świeżej cery. Żeby ją zmiękczyć i uczynić odpowiednią do mycia, radzę do 1½—2 ch litrów wody cieplej dodawać łyżeczkę proszku la Mollette. Woda, po rozpuszczeniu w niej la Mollette, niech postoi parę godzin i dopiero używać ją do mycia. Aby zapobiedz tworzeniu się zmarszczek, radzę używać krem Abarid i myć twarz otrybkami Abaridowymi, a nie mydłem. Chcąc się pozbyć wrażenia suchości i ściągnięcia skóry, które pani stale odczuwa, radzę nacierać twarz kilka razy dziennie watą zmoczoną w płynnym Goldcremie Abaridowym. Co do wygładzenia rąk i ramion, to Pate de Prelats, wcierane codziennie zaraz po umyciu, w wilgotną jeszcze skórę, działa nadzwyczajnie.

M-me Ercedès

Środki tu wymienione są do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych perfumerjach i składach aptecznych. Skład główny: Warszawa, ul. Szpitalna 10 perf. „Perfection”

PORADY KOSMETYCZNE.

Pani Mok. Piegi dadzą się łatwo usunąć stosując franc. płyn „Petunia” dr. Leroux,

R. S. U. Miejsca łuszczące się smarować kremem „Salome” przed i po umyciu. Udelikatni, cera przestanie się łuszczyć.

Naucz. Włosy lepiej myć mydłem płynnym, jak Pinol. Aby usunąć łupież, należy skórę głowy zwilżyć co 2—3 dni ang. płynem Bisare. Działa zarazem pobudzająco na mech włosiany,

St. M. Dla cery suchej lepiej stosować od piegów krem „Petunia”.

Dr. Roemer

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, T-WO REKLAMY MIĘDZYNAR. S-ka z Ogr. Odp. **OGŁOSZENIA** Gen. Rep. RUDOLF MOSSE—Marszałkowska 124, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” Długa 9 i J. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA.

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW

Kierownik Graficzny EDMUND BARTŁOMIEJCZYK.

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

21 MARCA 1925 r

Inspektorki pracy

W całym Państwie Polskim 5 tylko kobiet pełni obowiązki inspekcji fabrycznej. Noszą one tytuł podinspektorek i zajmują urzędowe stanowiska 7 klasy. Mianowane w początkach organizacji Państwa, nie awansują dotychczas, pomimo pełnych kwalifikacji, zupełnie dorównywających kwalifikacjom mężczyzn, zajmujących stanowiska inspektorów. Co ważniejsze, niektóre z nich nie są wcale dopuszczane do pełnienia swych urzędowych funkcji.

W Warszawie stanowiska podinspektorek zajmują panie: Kierstowa, Opielińska i Kolabińska. Na województwo warszawskie mianowana jest p. Wolinińska, na Łódź—p. Michalska. Ta ostatnia, jak twierdzą osoby dobrze poinformowane, nie przystąpiła nigdy progu żadnej fabryki łódzkiej. Mimo tytułu podinspektorki pełni ona faktycznie funkcje sekretarki.

Dzieje się to w mieście, gdzie 50% ludności robotniczej stanowią kobiety, i gdzie inspektor kobieta miałaby niewątpliwie bardzo wdzięczne zadanie do spełnienia.

Obecnie, gdy Ustawa o ochronie pracy kobiet i młodocianych stwarza prawną podstawę dla działalności inspektorek, jest rzeczą niezbędną powiększenie ich ilości i rozmieszczenie we wszystkich okręgach przemysłowych całego Państwa. Podobno Ministerstwo Pracy i Opieki społecznej zamierza w najbliższym czasie otworzyć kurs inspektorski dla kobiet, a to właśnie w widokach zastosowania usta-

wy, której przestrzeganie powinno być bezsprzecznie powierzone kobietom.

Z życia stowarzyszeń

WALNE ZEBRANIE RADY NARODOWEJ. Dn. 9 marca w sali Zjednoczonych Ziemianek odbyło się doroczne zebranie R. N. na którym przedstawiono sprawozdanie z całorocznej działalności Rady. Referowała generalna sekretarka p. Iwaszkiewiczowa

Poczem kolejno składały sprawozdania Sekcje:

- 1) Opieki nad dzieckiem;
- 2) przeciwdziałania handlowi żywym towarem.
- 3) prasowa,
- 4) wychowawcza,
- 5) finansowa.

Pozatem przedstawiono preliminarz budżetowy na rok przyszły.

Odbyły się następnie wybory do Zarządu, który utrzymano w tym samym składzie z p. senatorką Józefą Szebekówną, jako przewodniczącą, wzmacniając go kilku nowymi siłami.

Wybory delegatek na najbliższy Zjazd Rady Międzynarodowej (Waszyngton—maj) dały w wyniku następujące nazwiska: Senatorka Józefa Szebeko, posłanka Holderz Eggerowa i ks. Lubomirska.

Obszerniejsze sprawozdanie zamieścimy w następnym numerze „Komunikatu“.

„KOŁO OCHRONY PRACY“ KOBIEĆ I MŁODOCIANYCH. Tak nazywa się nowe zrzeszenie, zawiązane w celu przeprowadzenia pewnej konkretnej sprawy. Sprawą tą jest urzeczywistnienie uchwalonej w roku zeszłym przez Sejm, ustawy o ochronie pracy kobiet i młodocianych.

Zrzeszenie to powstało dn. 9 marca, na zebraniu, zwołanem przez posłankę Praussową. Po wy-czerpującej dyskusji w której, prócz inicjatorce, zabierały głos dr. Gar-

licka, dr. Zielińska, dr. Zofja Daszyńska-Golińska, p. Weychert-Szymanowska, p. Bornsteinowa, starsza referentka w Ministerstwie Pracy i inne, postanowiono, zawiązać stowarzyszenie, które zajmie się propagandą ustawy w najszerszych sferach, oraz poczyni kroki, celem uzyskania u Rządu pewnej egzekutywy, nie dopuszczającej, by przepisy ustawy figurowały wyłącznie na papierze. Do Zarządu Koła weszła dr. Daszyńska-Golińska, jako przewodnicząca, p. Bornsteinowa jako vice-przewodnicząca i p. Praussowa jako sekretarka.

Nadto wyłoniono delegację w osobach p. Praussowej, Daszyńskiej i Garlickiej, które wraz z przedstawicielkami świata robotniczego, złożą p. Ministrowi Sokalowi dezeraty kobiet, pracujących w sprawie wykonania ustawy i w ogóle nadzoru nad pracą kobiet w zakładach przemysłowych.

W czasie dyskusji bardzo rzeczowej i wszechstronnie oświetlającej kwestję, ujawniono wiele rzeczy, nadzwyczaj interesujących.]

Okazuje się, że ustawie, która stanowi niewątpliwie wielki krok naprzód w prawodawstwie ochronnym, grożą poważne niebezpieczeństwa. Z jednej strony właściciele przedsiębiorstw przemysłowych już dziś, po wydaniu przez Min. Pracy i Opieki Sp. dwóch rozporządzeń wykonawczych, w związku z omawianą ustawą, ujawniają tendencję do usuwania z fabryk kobiet zamężnych, a to ze względu na ciężary, jakie na nich w stosunku do matek i dzieci nakłada ustawa (utrzymywanie żłobków, dwie półgodzinne przerwy w dniu pracy celem karmienia niemowląt, 6 cio tygodniowe płatne u lopy przed położeniem i po położeniu i t. d.). Z drugiej strony, zwłaszcza wobec złej konjunktury przemysłowej, wywołanej bezrobociem i nadmierną podażą pracy, zachodzi obawa, że same robotnice zrzekać się będą praw, jakie im zapewnia ustawa, a na-

wet ukrywać swe macierzyństwo, z obawy przed wydalaniem. Ustawie grozi zatem, iż jak wiele innych, pozostanie ona częścią teorii. W dodatku robotnicy mężczyźni, uznając w kobiecie współzawodniczkę, lekceważą tę ustawę, a nawet usuwając kobiety uważają za rzecz dla świata robotniczego pożądaną.

Jeszcze bardziej interesująco przedstawia się, a zarazem budzi smutne refleksje fakt, że niektóre punkty ustawy są na razie nie do zrealizowania, z powodu naszej niższości kulturalnej. Takim jest punkt o żłobkach.

By zorganizować wzorowo prowadzone żłobki, któreby nie były rozsądnymi epidemii i nie przyczyniały się wogóle do wzrostu śmiertelności wśród dzieci, trzeba mieć doskonale wyszkolony i bardzo liczny materiał pielęgniarski. Ustawa przewiduje, że na sto robotnic jest 10 karmiących matek, a zważywszy że 50% ludności robotniczej Łodzi stanowią kobiety, przewidywać należy bardzo duże zapotrzebowanie na pielęgniarki.

Niestety pielęgniarek niema. Niema nawet szkół pielęgniarskich a kobiety do zawodu tego nie garną się tak chętnie, jakby powinny. Zanim więc ten punkt ustawy będzie można realizować, wykształcić trzeba pierwsze pokolenie pielęgniarek.

W takich to błędnych kołach, wytworzonych przez niedawną przeszłość naszą, obraca się wciąż jeszcze twórcza myśl polska, dążąca do udoskolenia i rozjaśnienia życia.

ZJAZD CHYLICZANEK. D. 4 b. m. w obszernej sali gmachu zakładu naukowego C. Zyberk-Platerówny, przy ul. Pięknej 24 odbył się doroczny zjazd wychowanek szkoły gospodarczej w Chyliczkach.

Porządek dzienny zjazdu zawierał punkty następujące: 1) Sprawozdanie z działalności Koła Czytelniczek (odczytane przez przewodniczącą tegoż Koła, p. Felicję Wyczołkowską). 2) Sprawozdanie ze szkoły gospodarczej w Chyliczkach, oraz ze szkoły dziewcząt wiejskich w Przybyszewie, założonej z inicjatywy Koła Chyliczanek. Delegatka sekretariatu Chyliczanek w Poznaniu zdawała sprawę z działalności tej instytucji, której zadaniem jest skupiać wszystkie Chyliczanki, zamieszkałe w obrębie województwa poznańskiego i pomorskiego.

Obrady Zjazdu toczyły się poważnie nad kwestją wzięcia udziału w szerokiej akcji społecznej nad odrodzeniem moralnym narodu. W tym duchu przemawiał: p. Czyczówna (w krótkim, ale niezwykle serdecznym i pięknym zagajeniu do

uczestniczek Zjazdu), ks. poseł Nowakowski oraz poseł Bitner. Ten ostatni, w dłuższym przemówieniu podnosił konieczność szerzenia w społeczeństwie ideologii moralności chrześcijańskiej, pojętej nie tylko z punktu widzenia etyki osobistej, lecz obowiązującej również w życiu społecznym i w stosunkach ogólnoludzkich. Mówca zachęcał uczestniczki Zjazdu do czynnego popierania akcji organizującego się towarzystwa Odrodzenia Narodowego, którego zadaniem będzie walczyć z demoralizacją naszego społeczeństwa przez rozszerzanie wydawnictw, uświadamiających w duchu chrześcijańskim.

Zebrań przyjęło ten projekt z dużym zainteresowaniem i postanowiło współdziałać w tej niezmiernie doniosłej akcji społecznej.

Zjazd zakończył się zebraniem towarzyskim, na którym panował nastrój niezmiernie serdeczny i prawdziwie koleżeński.

FEDERACJA SPORTOWA. W dn. 28 lutego odbyło się zebranie przedstawicieli klubów i sekcji kobiecych, zwołane przez Związek klubów sportowych. Uchwalono przystąpić do prac przygotowawczych w celu zawiązania Polskiej Kobiecej Federacji Sportowej.

Do komitetu organizacyjnego weszły: J. Gebethnerówna, (przewodnicząca) K. Muszałówna, Dr. Zabawska-Domostławska, W. Fynfsztykówna, A. Smidówna i F. Tryburska. Jedno miejsce zarezerwowano dla przedstawicielki A. Z. S.

DLA DZIECI Sekcja „Opieki nad dzieckiem”, przy stowarzyszeniu „Rodzina Wojskowa” przystępuje do zorganizowania tanich korepetycji dla dzieci oficerów, potrzebujących pomocy w nauce szkolnej, Korepetycje odbywać się będą w kompletach po kilkoro dzieci pod kierunkiem fachowym nauczycielek i będą miały za zadanie bądź wyrównywanie braków w poszczególnych przedmiotach, bądź też ogólny nadzór nad odrabianiem lekcji.

Jednocześnie sekcja „Opieki nad dzieckiem” organizuje t. zw. „Ogródki dziecięce”, t. j. spacer i gry na świeżym powietrzu pod kierunkiem wykwalifikowanych wychowawczyń, zaś w najbliższej przyszłości Sekcja zamierza przystąpić do urządzenia tanich pensjonatów dziecięcych na letniskach podmiejskich i w miejscowościach kuracyjnych.

Członkinie Stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa”, interesujące się działalnością sekcji „Opieki nad

dzieckiem” proszone są o zgłoszenie się do biura informacyjnego przy sekretarjacie stowarzyszenia (Kasyno garnizonowe w Al. Szucho) pomiędzy 5 i pół a 6-tą po poł.

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

— **JULIN 5 marca.** Z inicjatywy i dzięki funduszom, włożonym przez p. Paderewską, powstała w Julinie szkoła hodowli drobiu, na której kierowniczkę upatrzyła pani Paderewska specjalistkę w tym przedmiocie pannę Vullimoz, szwajcarkę.

Pomimo zaprowadzenia w Julinie wzorowych urządzeń, mimo internatu, odpowiadającego w wszelkim wymaganiom wygody i higieny, do szkoły zgłosiły się tylko 4 kandydatki. Przyczyną było, między innymi to, że niekażda uczenica u nas słuchać może francuskiego wykładu a p. Vullimoz polskiego języka nie zna.

Zręzygnowano więc na razie z myśli otwarcia szkoły, a zorganizowano paromiesięczne kursy. I na te jednak frekwencja jest bardzo słaba, pomimo, że obecnie wykłady prowadzi, prócz p. Vullimoz, pierwszorzędnym specjalistą polski w tym dziale p. Trybulski, który tu stałe z Wołomina dojeżdża.

Warunki pobytu w Julinie są nadzwyczaj przystępne. Nauka, wraz z całodziennym utrzymaniem i mieszkaniem kosztuje tylko 150 zł. miesięcznie. Mimo to na kurs przybyło zaledwo kilka uczenic.

Przypisać to należy w dużym stopniu nieumiejętności rozreklamowania tej pożytecznej instytucji. Ludzie poprostu o Julinie nie wiedzą.

W Julinie prowadzi się hodowlę następujących ras: w dziale kur: oringtony białe i wyandoty, a obecnie zaprowadzono i hodowlę najpożyteczniejszych, krajowych naszych zielononózek (zwalczając co do nich uprzedzenie kierowniczkii zakładu); w dziale ptactwa wodnego: gęsi tuluzkie i emdeny, oraz kaczki piżmowe.

Z wiosną puszczone w ruch dwa inkubatory.

Należy mieć nadzieję, że mimo niepowodzenia pierwszych kroków, szkoła w Julinie rozwinie się z czasem. Adres: Julin — poczta Łochów. Najbliższą stacją są Urle, od których do Julina mamy jeszcze 2 kilometry złej drogi. K.

— **TUREK 1 marca.** Tureckie Koło Ziemianek, jedno z najruch-

liwszych w kraju, zorganizowało w miasteczku Dobrej kursy rolnicze, które w dwie niedziele, jedną po drugiej objąć miały pewien całości kształt wiadomości, najpotrzebniejszych dla drobych rolników. W niedzielę 1-go marca, po nabożeństwie zapełniła się sala teatralna w budynku strażackim, łłumami ludu. Powołanie było wprost nadspodziewane. Rzecz charakterystyczna: kobiet z początku wpuścić nie chciano i dopiero przedstawicielka Ziemianek bocznymi drzwiami wprowadziła je na estradę. Otworzyła kurs, z ramienia ziemianek instruktorka objazdowa p. Wanda Bogusławska pogadanką o znaczeniu kursów rolniczych.

Następnie p. Antoni Piątkowski mówił o melioracjach rolnych, o hodowli i żywieniu krów, a p. Bogusławska o hodowli drobiu. Do późnego wieczora, przeważnie stojąc, bez posiłku, słuchali włościanie zajmujących odczytów, chciwie chłonąc podawane im rady i wskazówki. Odzywały się głosy, że za mało im będzie niedzieli następnej, że pragną wykładów dalszych.

Zapał ten należałoby wziąć pod uwagę i pomyśleć poważnie o środkach zaspokojenia potrzeb kulturalnych naszej wsi.

Zorganizowaniem kursu rolniczego w Dobrej zajmowały się panie: Dzierzbicka (przewodnicząca Koła), Zaborowska, Młodzianaowska, Młodicka i Dzierżawska.

Tureckie Koło Ziemianek utrzymuje w Turku schronisko dla sierot po poległych, tamże ochronkę na 80 dzieci i dostarcza produktów do kuchni dla ubogich; w Uniejowie utrzymuje przytułek dla starców, poza tem 3 biblioteki ludowe ruchome i t. d. Nadto Koło to dostarcza produktów do jednego z warszawskich schronisk dla dzieci. Z innych prac Koła wymienić należy loterię fantową na dochód szkół gospodarstwa kobiecego, która przyniosła w zysku 1010 zł.

Obecnie otwiera koło listę składek na samolot wojenny, drugą na budowę Instytutu radowego im. M. Curie-Skłodowskiej.

— **WIĘCIBORK 4 marca**, W najdalej na północ wysuniętym pow. Świeckim, oświatą pozaszkolną zajmuje się gorliwie, przybyła z Warszawy instruktorka oświatowa, Stefania Bojarska, otrzymująca subsydjum od Wydziału oświatowego miejscowego Sejmiku. Od połowy lutego do końca miesiąca wygłosiła ona 6 wykładów w Związku towarzystw dla dorosłych w Świeciu, na tematy społeczne, oświatowe, krajoznawcze, o wy-

chowaniu obywatelskiem, o życiu i czynach Wandy Umińskiej i t. p. Poza tem w tym samym okresie miała 25 wykładów w szkołach powszechnych, w szkole wydziałowej, w państwowym gimnazjum koadukacyjnym, w szkole rolniczej, w szkole dokształczającej męskiej i t. d. na tematy, pokrewne poprzednim.

Prócz tego dn. 2 marca na posiedzeniu miesięcznym Czytelni dla kobiet, w sali „Strzelca“ w Nakle ta sama prelegentka wypowiedziała odczyt p. t. „Kluby oświatowe, ich historia i organizacja“. Zebranie było liczne i dyskusja ożywiona. Czytelnia dla Kobiet, której prezeską jest żona miejscowego przemysłowca, energiczna i ruchliwa p. Janicka, istnieje od lat 14. Powstała z tajnych kółek oświatowych.

W Świeciu wychodzi trzy razy na tydzień pismo p. t. „Głos Świecki“, którego dodatek dla dzieci i młodzieży p. t. „Opiekun Młodzieży“ redaguje p. Marja Bogusławska.

Ruchem społecznym w pow. Świeckim interesuje się żywo żona miejscowego starosty p. Bartłochowa, spiesząc wszędzie z pomocą i dobrą radą.

Przegląd prasy

— „Gazeta Administracji i Policji Państwowej“ zamieszcza w № 8 dłuższy artykuł p. t. „Kobiety funkcjonariuszkami policji państwowej“.

Zadania policjantek określa autor artykułu, jak następuje:

„Rola ich polegać będzie na służbie wywiadowczej, a częściowo prewencyjnej, w wypadkach, gdy chodzi o przestępczą działalność w stosunku do kobiet i dzieci, o walkę z żywym towarem, deprawacją, alkoholizmem i t. p. Kobieta daleko łatwiej w tych wypadkach, niż mężczyzna zdoła przeniknąć i ujawnić zbrodnicze zamierzenia przestępców, prędzej zyska zaufanie ofiary.“

Gdy jej interwencja ma widoki powodzenia, funkcjonariuszka działać będzie osobiście, gdy jednak wobec warunków fizycznych, akcji jej grozi niepowodzenie — obowiązana jest wezwać pomocy funkcjonariusza mundurowego.

Poza tem funkcjonariuszkom policji przysługiwać będzie prawo interwencji osobistej w dziedzinie prewencyjnej na mocy legitymacji służbowej, bądź przy pomocy funkcjonariusza mundurowego.“

— „Kurjer Polski“ № 59 w dziale „Świat Kobiety“ zamieszcza ar-

tykuł dr. Zofji Gerlickiej p. t. „Złobki dzienne dla niemowląt, a pracująca inteligencja“; W artykule tym autorka wskazuje na konieczność tworzenia instytucji, którym pracująca zawodowo inteligentka mogłaby z całym spokojem powierzyć swoje maleństwo. Tamże w artykule p. t. „Czy w Państwie Polskiem kobieta jest równouprawniona?“, autor czy autorka porusza sprawę, o których dotąd panowało milczenie, a które jednak coraz żywiej domagają się głosu. Autor dowodzi, że pod względem ekonomicznym równouprawnienia niema, że uczone pomijane są na uniwersytetach, że ani jedna polka dotychczas do dyplomacji bezpośrednio dopuszczoną nie jest, choć często właściwymi kierowniczkami placówek dyplomatycznych są żony konsułów i posłów. Świat „prawa i sprawiedliwości“, wbrew prawu i artykułowi 96-stemu Konstytucji nie dopuszcza kobiet do stanowisk sędziów i rejentów i t. d. i t. d.“

— „Wiadomości Literackie“ № 10 zamieszczają wywiad z Marją Dąbrowską, laureatką tegorocznego konkursu wydawców, dawną znajomą czytelniczek „Bluszczu“. Wywiad jest pióra Stefani Podhorskiej-Okołów.

— Medjolański „Il Secolo“ w № z dnia 2 b. m. zamieszcza dłuższy artykuł p. t. „Francesco Nullo i wyprawa jego do Polski“, będący streszczeniem monografii pani K. Bielańskiej p. t. „Nullo i jego towarzysze“. Autor artykułu uważa to dzieło za najbardziej źródłową pracę o powstańcu polskim Włochu i podkreśla fakt zużytkowania przez autorkę nieznanych dotychczas dokumentów, znajdujących się przedtem w rosyjskiem archiwum państwowem, a obecnie wróconych Polsce.

— W „Kurjerze Lwowskim“ z dn. 5 marca spotykamy p. t. „Do Broni!“ odpowiedź p. St. Wasylewskiemu na jego odczytowaną filibkę przeciw współczesnej kobiecie polskiej. Autorką odpowiedzi jest Zofja Gostomska.

Zartobliwy ton tej odpowiedzi nie jest właściwy, gdy chodzi o tę sprawę.

— „Kurjer Warszawski“ drukuje Róży Czekalskiej Heymanowej nowelę p. t. „Spójrzcie“.

— „Dziennik Poznański“ № 48 zamieszcza M. Janowskiej: „Z powodu Przedwiośnia“ jeden z niezliczonych artykułów polemicznych, jakie wywołała ostatnia powieść Żeromskiego.

Wiadomości Zagraniczne

ANGLJA. Kobiety w Izbie Lordów?
Według doniesień pism angielskich, rozpatrywany jest obecnie projekt nadania kobietom praw do zasiadania w Izbie Lordów. Jak wiadomo, z praw tych korzystają członkowie arystokratycznych rodzin angielskich (parowie). Równouprawnienie to zatem miałyby obejmować przedstawicielki starożytnych rodów, których linja męska wygasła (t. zw. „Peeresses in their own right“).

Projekty nowych reform w parlamencie. W ubiegłym miesiącu były podnoszone na posiedzeniach parlamentu angielskiego następujące kwestje, świadczące o wzmożonym zainteresowaniu sprawami, związanymi z życiem kobiet:

1) Sprawa ochrony macierzyństwa, w szczególności zaś klinik przedporodowych. Interpelowany w tej sprawie minister zdrowia wyjaśnił, że rozesłany został specjalny okulnik, nakazujący otwieranie podobnych klinik przy szpitalach prowincjonalnych.

2) Sprawa pracy kobiet w warsztatach portowych wzbudziła ożywioną dyskusję. Domagano się udziału kobiet w komisjach nadzorczych.

3) Poruszoną była także sprawa reform w więziennictwie. Posłowie: pułkownik Day, Lansburg i inni podnosili konieczność wprowadzenia lepszej opieki nad kobietami, uwięzionymi w czasie ciąży, z których znaczna ilość odbywa następnie poród w więzieniu, w warunkach wysoce nieodpowiednich pod względem opieki lekarskiej i zdrowotności. Wniesiono projekt reformy, któraby przewidywała specjalną dietę i lepsze warunki higieniczne dla matek, oczekujących porodu, oraz zapewniała uwięzionym możliwość odbycia samego porodu poza murami więzienia w specjalnej klinice.

AUSTRJA. Matura dla gospodyń.
Austriackie ministerstwo oświaty wydało nowe rozporządzenia dla wyższych szkół żeńskich w sprawie zdawania egzaminu dojrzałości. W zakres przedmiotów do egzaminu, obok innych, wchodzi także: pielęgnowanie i wychowanie dzieci, gotowanie i gospodarstwo domowe. Kandydatki winny wykazać nie tylko pewne wiadomości teore-

tyczne z tych dziedzin, ale także praktycznie udowodnić stopień nabytej rutyny.

Nauka i Sztuka

— Dn. 1 marca otwarto w salonie, Marszałkowska 69 wystawę prac malarskich Michaliny Krzyżanowskiej.

— O wystawie tej wyraża się nader pochlebnie sprawozdawca „Kurjera Warszawskiego“:

„Życie pejzażu — życie starych murów i gmachów — życie witrażów i rzeźb kościelnych — a więc piękno życia w naturze i w dziełach rąk ludzkich — ukazuje nam w zbiorowej wystawie swych prac malarskich (w Salonie Sztuki p. Lewińskiego) Michalina Krzyżanowska. Dążeniem tej wybitnej artystki jest prawda — prawda nie w znaczeniu utopji obiektywizmu realistycznego, i nie tylko jako prawda zewnętrznego wrażenia subtelnie widzących oczu, ale prawda wstrząsu duchowego na widok morza, łąki, kwiatów, miast, ludzkich postaci...

To, co się widzi czującym sercem, nerwami artysty, samo przez się staje się żywym. „Jam wszędzie cząstkę swej duszy zostawił” — mówi Mickiewicz. Te cząstki duszy — to spojrzenia malarza, gdy zachwyci się wiecznie nowym cudem przyrody.

Obrazy M. Krzyżanowskiej — to przeżycia w obcowaniu z naturą. Wierne, bez pochlebstw, bez drobiazgowych notatek, nieraz bardzo silne w ujęciu, opowiadają nam o poezji chmurnego nieba nad zatoką, o smutku i uroku opuszczonego Kijowa, o świeżości sadu na wiosnę, o przepięknej grze kolorów we wnęce okna katedry Notre Dame, o cichym uśmiechu świętych postaci na rzeźbie w kościele na Spizu — i prześlicznych, gęstych mgłach nad szeroko płynącym Styrem — o tych mgłach, co jak złotawe strzępy muslinów i jak żywe stada dziwacznych jakichś półmaterjalnych istot powoli się wznoszą nad wodami i wnet ulecają pod niebo, odsłaniając słońce.

Ten ostatni obraz jest szczególnie piękny. Oryginalność i prawda bezpośredniości obserwacji, szeroki styl malowania, prostota, z jaką tu odtworzono ruchomą cichość mgieł prześwieconych, zasługują na najbardziej uwagę.

Utajony, poważny liryzm przebija z dzieł M. Krzyżanowskiej. Synte-

tyczność techniki, nabytej pod kierunkiem męża artysty, wielkiego portrecisty, ś. p. Konrada Krzyżanowskiego, nadaje obrazom jej wdzięk rzeczy, poczętych w swobodzie ducha. A obok tego lotu odczuwa się tam wytworność szczerości bezwzględnej, na którą pozwolić sobie mogą tylko talenty o szlachetnej, rasowo-artystycznej duszy”.

Kursy, odczyty, wykłady

— „Handel żywym towarem”. Pod tyt. powyższym wygłosiła we Lwowie dn. 7 marca posłanka Holder-Eggerowa odczyt, który zgromadził sporo słuchaczy i wywołał duże zainteresowanie.

Książki

— Dowiadujemy się, że współpracowniczka „Bluszczu” L. Knołówna rozpoczęła przekład „Popiołów” Żeromskiego na język francuski.

— Królowa rumuńska Marja napisała książkę p. t. „The Country, I love”, w której mówi o Rumunii i jej sytuacji międzynarodowej. Książka ta, ozdobiona rysunkami królowej greckiej, ukazać się ma na wiosnę.

— Nakładem księgarni Perzyński Niklewicz i S-ka ukazała się praca Karola S. Myersa „Umysł i Praca” w przekładzie M. Lisowskiej. Ta sama firma wydała w przekładzie tejże tłumaczki — Edwarda Ellisa powieść lotniczą dla młodzieży. p. t. „Smok Podniebny”.

— Nakładem firmy E. Wende i sp. (1925) ukazał się pierwszy tom wyboru pism Gilberta K. Chestertona. Zawartość pierwszego tomu wypełnia „Napoleon z Notting-Hill.” Tłumaczyła Janina Popławska — Łaszczowa.

Sport

— *Bieg na przelaj.* Zorganizowany przez francuską sportową federację kobiecą bieg na przelaj o mistrzostwo Paryża zgromadził 58 zawodniczek. Bieg miał miejsce w lasku St. Cloud. Dystans wynosił 2 klm. 800 m. Zwycięstwo odniosła p. Thuault.